

RYDWAN

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY
SPRAWOM TWÓRCZOŚCI
I KULTURY POLSKIEJ



L U T Y
1 9 1 2

TREŚĆ ZESZYTU:

I. IDEE I KONCEPCYE.

- | | |
|----------------------------------|-----------------|
| 1. RYDWAN | JAN ZARYCZ |
| 2. OPIEKA NAD DUSZĄ KRASIŃSKIEGO | CEZARY JELLENTA |

I. PRZEGLĄD.

- | | |
|------------------------------|-----------------------|
| 3. NEO-MISTYKA „DOCZESNOŚCI“ | J. ALBIN HERBACZEWSKI |
| 4. OPOKA MESYANIZMU | KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI |
| 5. WYBÓR MYŚLI VOLTAIRE'A | KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI |
| 6. „INTERLUDYA“ | EDWARD HOSZOWSKI |
| 7. SATYRA W SZOPCE | ALASTOR |

III. SYGNAŁY.

- | | |
|--------------------------------|------------------|
| 8. STULECIE NAPOLEONA | JAN ZARYCZ |
| 9. ZWIERZENIA O NASZEJ KRYTYCE | MARCIN SAMLICKI |
| 10. MIZERYA TEATRALNA | ALASTOR |
| 11. „ZŁOTY RÓG“ | |
| 12. ZDEMASKOWANIE MICKIEWICZA | RYSZARD BAHENICZ |

TREŚĆ ZESZYTU PIERWSZEGO:

I. IDEE I KONCEPCYE.

- | | |
|--|-----------------------|
| 1. IDEA RYDWANU | REDAKCJA |
| 2. FRESKI KOŚCIELNE LEGIONU | CEZARY JELLENTA |
| 3. PRZYPOMNIENIA O SZTUCE | KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI |
| 4. MYŚLI O „DOCZESNOŚCI“ LITERATURY POLSKIEJ | J. ALBIN HERBACZEWSKI |

II. PRZEGLĄD

- | | |
|------------------------------------|------------------|
| 5. STRACONE ZACHODY | J. WŁ. DAWID |
| 6. POMNIK KOŚCIUSZKI | EDWARD HOSZOWSKI |
| 7. WYSTAWA SZTUKI KOŚCIELNEJ | EDWARD HOSZOWSKI |
| 8. POCHÓD KRÓLÓW DO KOŁA POLSKIEGO | JAN ZARYCZ |
| 9. PROBIERZ TEATRALNY LEGIONU | JAN ZARYCZ |
| 10. Z MÓWNICY PUBLICZNEJ | LESZCZOT |
| 11. AFORYZMY ZACOFANCA | K. B. |

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

Rydwan.

Pędzę, jak bóg, od wieka. Czuj-duchy rycerze
Lejce nad złotogrzywe zdłużają bachmaty,
A sęp, podniebia władca, nastroszywszy pierze,
Dziobem gniewnie mię szarpie, myśląc, zem skrzydlaty.

Do świętych krain słońca rozwaliwszy dźwierze,
Tratuję wrogów prawdy i szczerości katy,
Skrzącą kurzawą kół mych przerdzawię pęgierze,
A wichrem lotu zdmuchnę mrocznych kohort czaty.

Wojacy ducha, orlą chadzający percią,
Chyże rumaki swoje zbudźcie na pęd bratni,
Za długo wszyscy żyjem pół wstrętem, pół śmiercią.

Lepsza zagłada w chwale, niż sen w bezpotędzie,
Lepiej mrzeć zgonem jasnym, niż być łupem matni,
Patrzcie ku świtom wschodu — jak wóz Feba pędzę!

JAN ZARYCZ.



Opieka nad duszą Krasińskiego.

Zarówno wielbiciele, jak i przeciwnicy, tłumacze niepowołani przed społeczeństwem, jak i oszczercy, chcą koniecznie narzucić Krasińskiemu nimb skoncentrowanego chrystyanizmu w Irydionie a parafiańskie sekciarstwo w Nieboskiej Komedyi.

I tem ustawicznym trąbieniem o prawowierności sans peur ni reproche Krasińskiego osiągnęli wreszcie to, że otumanili w zupełności siebie i ludzi. Wkońcu cały ogół uwierzył w tę niekontrolowaną plotkę, że oba wielkie poematy dramatyczne to są dwie wielkie inwektywy na dusze niereligijne, dwa wielkie akty skruchy i pokory, w najlepszym zaś razie dwa swawolne intermezza i krótkotrwałe zboczenia z drogi pobożności i cnoty.

Ostatecznie więc Krasiński zafigurował jako wstecznik i zelota, należący do kościoła wojującego. Poetę bogobojnego i tendencyjnego z Psalmów przeniesiono w Irydiona i Nieboską.

Kto jest w literaturze winowajcą tej maskarady? Właściwie nikt i wszyscy. Złożyło się mnóstwo przyczyn: uprzedzenie do arystokraty, który w pomniejszych utworach nie ukrywał tego, że jest obrońcą szlachty, oraz uderzająca niepsychologiczność i nieartystyczność tak zwanej krytyki naszej. Ona zawsze wychodzi z założenia, że poeta nie ma duszy, własnych namiętności i ciężów, lecz jest tylko pięknym domem zajezdnym dla różnych wpływów książkowych, dogmatycznych i salonowych. W ten sposób nie jeden groźny zapęd katylinarny sądzony jest jak poza kotylionowa.

Szerokość Irydiona i Nieboskiej widzieli właściwie wszyscy z obozu konserwatystów i dygnitarsko-senatorskiego: i Julian Klaczko i Stanisław Tarnowski i wnuk poety Adam Krasiński, najbardziej nowoczesny i społecznie najmniej naiwny, i prof. Józef Kallenbach. Nawet głównej kadzielnicy kościoła polskiego, hr. Stanisława Tarnowskiego, mistrza w oblewaniu zapachem świętości, którego samo

jedno dotknięcie już ubiela jak hyzop (*Asperges me hyzopo et super nivem dealbabor*) po nad śniegi, nie można winić w tym względzie o szczególną wąskość poglądu. Poetycka i przedewszystkiem czysto poetycka i myślowa wartość obu dzieł uderzała wszystkich krytyków i strzegła przed wtłaczaniem Krasieńskiego w ramki zwykłego przedstawiciela kasty. Ale niestety żaden z nich nie umiał wytrwać w roli rzeczownika ściśle bezpartyjnego; nikt nie umiał utrzymać się na wyzynchach samego poety. Wszyscy raz po raz jakimś zgrzytem lub moralizatorstwem psuli swój pierwotnie czysty ton.

Jeśli zważyć, że ludzie i stronnictwa typu nieprawowiernego i skrajnego są z natury rzeczy podejrzliwi i w stosunku do pisarzy herbownych szczególnie nieufni, to cóż dziwnego będzie, że z owych wycieczek hrabiów piszących o hrabi wyciągnęli wskazówkę, iż można się nim nie zajmować i nie widzieć w nim boga dla panteonu narodowego.

A tymczasem Irydion i Nieboska nie są żadną zgoła apologią ani chrystyanizmu jako zagrożonego, ani dawnego porządku rzeczy. Oba poematy kończą się wizją Chrystusa, ale nie jego zwycięstwem, albowiem w nich Chrystus wcale udziału walczącego nie brał. Przyszedł na końcu jako Duch wyższy, dający bądź ukojenie, bądź rozstrzygnięcie wiekowych zapasów. Przyszedł niemal nagle, niespodzianie, ażeby odebrać hołd od duszy, co długo przebywała w dramacie pogaństwa i zmagania się ziemskich. Do niego musiał poeta wrócić i nawrócić się, jako do świętości, w której się wychował i do której przystani — wie o tem dobrze — zawinie, i która — również wie o tem dobrze — zapanuje w jego poglądzie na sprawy świata.

Są to powroty normalne i zawczasu przewidziane, w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu: konwencyonalne i rycerskie. Złamać Bogu swojemu wiare jest bowiem także grzechem przeciw honorowi szermierza.

I nie należy wymagać więcej od niezawisłego twórcy i odczytanego w filozofii poety, jakim był Krasieński. To i tak bardzo wiele, że mimo wszelkie burzliwe niebezpieczeństwa niewiary, któremi ziała sroga rzeczywistość dokoła, oparł się lucyferycznym śpiewom przeczenia.

I nie można żądać więcej od samych tematów. Są tematy, które same przez się, z natury rzeczy, wyłączają zbytnią widoczność lub prawdopodobieństwo objawienia boskiego. To trudno — idea pomsty nad Rzymem i olbrzymi plan spisku, przedsięwzięcie zburzenia całego zgniłego i spodłonego świata, nie może się wyrażać świątobliwie. Musi się ona składać z uczuć człowieczych, z nienawiści, okrucień-

stwa, podstępów i uwiedzeń, nieczystych okupów, jak rzucenie rodzonej siostry Elsinoi na pastwę zmysłów Holiogabala z celem ostatecznego dotrucia jego duszy. W takiej imprezie miejsca na Boga a tembardziej na Chrystusa tak bardzo niema. Zemsta tak wypełnia całą istotę Irydiona — zresztą istotę grecką, nie chrześcijańską — że na chrześcijan patrzy on jako na przeszkodę. Kochać nie może tych, duchem obcych, którzy mu zniszczyli wielkie, już prawie blizkie dokonania się dzieło zagłady Rzymu. A w dzieło to włożył przeciw taką potęgę ducha i uczucia, że ona sama wyrzeźbiła go w ten wspaniały marmurowy posąg, którym się nam ukazuje w każdym swoim słowie i ruchu.

To też pomimo nagle zbudzoną w zakończeniu tęsknotę ku Chrystusowi, pogańskie jądro utworu zostało nietknięte. Chociaż przyszła rezygnacya i duch odwetu znalazł ukojenie w wizyi pielgrzymki na północ, ku ziemi mogił i krzyżów, chociaż chrystusowieje w końcu — epilog ten jest dla nas nie więcej, jak sennem echem dzwonów kościelnych. Nie tylko nie przekreśla on Irydiona — samo takie przypuszczenie brzmi lichy i fałszywie — lecz go ani na chwilę nie osłabia. Jest dość luźno uczeptionym strzępem melancholii i niemocną próbą rezygnacyi.

Okazuje się jednak, że to votum, złożone jako pieczętka na wielkim, gigantycznym dramacie, jest dla niektórych jedyną w nim rzeczą piękną i zrozumiałą. Prof. Kallenbach w swej pracy dwutomowej o Zygm. Krasińskim, powiada:

„Tem dokończeniem żyje po dziś dzień dla nas Irydion, jak ożył dla poety w r. 1836“. „Każe zapomnieć o Rzymie i Heliogabalu, a przenosi nas czarowną mocą na Północ, do ziemi mogił i krzyżów...“

Cóżby na to powiedział prof. Kallenbach, gdyby ktoś rozpatrując znaczenie Pana Tadeusza, powiedział o ostatnich dwóch wierszach:

I ja tam z gośćmi byłem, miód i wino piłem,
A com widział i słyszał, w księgi umieściłem,

że niemi tylko żyje dziś Pan Tadeusz i że one każą zapominać o Zosi, Soplicowie, Napoleonie, gen. Dąbrowskim i t. d.?

Dokończenie owo „niespodzianie przesywa“ serce szan. profesora. Jaka szkoda, że przeoczył on, iż taki efekt niespodziany jest tem samem utworowi obcym. Zaiste zbyt czułe serce i zanadto krótka pamięć, skoro z niej odrazu wywietrzył i Rzym i Heliogabal i oczywiście sam Irydion.

Należy więc Irydiona przypomnieć ludziom. Jakże dziwną jest taka potrzeba wobec dwutomowego studium o Krasińskim!

Przypominam więc olbrzymiość i olbrzymi urok syna Amfilocha, wszechludzką skalę jego sprzysiężenia; rozłożystą a jasną budowę samego poematu; wiekuistą, pierwszorzędną prawdę uczuć nienawiści dla stolicy, wybranej na symbol całej potworności ciemństwa. Prawda ta za dni naszych z każdą godziną większego nabiera znaczenia, złowrogięgo blasku i zastosowania. Stan ducha: ból, gniew, oburzenie, narodowe i wszechludzkie — był nie tylko młodością poety, jego *Sturm und Drang*, ale i skryzalizowanym dojrzałym wyrazem wyładowania się uczuć i myśli, najmocniejszych, najwięcej pierś rozsadzających, nie tylko w owym okresie, lecz w całym życiu jego.

Potwierdzają to własne słowa poety, wyrzeczone w liście do Gazyńskiego: „Sam się przyznaje, że jest bardziej w sercu pogańskiej części zwolennikiem, niż filozoficznej: wolałby dzień taki jeden, choć z przegraną, niż nadzieję dalekiej przyszłości“. A dalej znów: „Lecz o myśli głównej (Irydiona) przewodniej, o tem, co było marzeniem jego młodości, sądzi, może uwiedziony dumą, że jest szeroka i głęboka i że jest zgodna z prawdą wiekuistą z jednej strony, a z drugiej z przemijającymi objawami, których za czasu naszego, za dni krótkich naszych wiele już było, a znikły wszystkie, zostawiając za sobą jęk niesłyszany tytańskiej boleści, zawodu najświętszych i najjaśniejszych nadziei..“

Irydion mógłby być narodzić się dzisiaj, w wieku XX, i byłby stokroć prawdziwszym jeszcze, zrozumialszym i napewno nie przyszłoby nikomu przeoczać jego wulkanicznych głębin dla zakończenia, które jest jedynie ukorzeniem się przed „rozumem Bożym“. Nie widać, ażeby ten rozum tak bardzo pocie imponował, skoro poddaje się mu z odcieniem przymusu: „Ale darmo, — co jest, to jest“.

Adwokatować Krasińskiemu wobec chrześcijaństwa nie potrzeba, już chociażby dla tego, że koncepcya Irydiona jest wiecznościową, rozpostartą na wieki przed nim i tysiącolecia po nim. Brat Elsinoi nim rozpoczął groźne swe dzieło, już istniał jako duch uśpiony. A potem po porażce swojej, zaklęty przez Masynisę w tajemniczy letarg, jakoby ukryty byt idei, trwa aż do dni po-listopadowych, ażeby iść na północ, do żałobnej krainy.

Takie wielkie, cały ciąg dziejów obejmujące wcielenia, doznają strasznej ujmy, gdy się ich punkt ciężkości przenosi na pewną chwilę. Najbardziej niespożyte a bolesne wiekowe napięcia nie mogą momentowi pokory mówić: „Upadam do nóg“ — i wynosić się za bramę poezyi.

Taki sam błąd popełnia p. Kallenbach, gdy swoją charakterystykę Pankracego z Nieboskiej, poczętą poważnie i zgodnie z wielką interpretacją Mickiewicza, Klaczki i późniejszych, psuje stronnictwem i niedokładnym oświetleniem trybuna. Mówi o nim, jak o zwykłym demagogu: „Nie dziw, że człowiek, roztaczający taki ponętny obraz raju ziemskiego przed oczyma zgłodniałych i wynędzniałych tłumów, pociąga je za sobą, jest ich bożyszczem i t. d.“

Jest to dość pospolita nieprawda. Pankracy bowiem pokazuje ów obraz („jedno miasto kwitnące, jeden dom szczęśliwy i jeden warsztat bogactw i przemysłu“) nie ludziom, tłumom zgłodniałym, lecz hr. Henrykowi. Snuje on swój widok przyszłego plemienia w owej krytycznej rozmowie z wodzem arystokracji, w chwili szczytowej zderzenia się dwóch duchów, w tajemnym we cztery oczy starciu się dwóch potężnych indywidualności. Pankracy ani razu tłumowi się nie zwierzał, traktował go zawsze jak wódz i nadczłowiek. Nawet zaznacza on mocno: „są ludzie, którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem“.

Przedstawiając go jako tuzinkowego agitatora, hojnie sypiącego mamiłkami, autor najpoważniejszego dzieła o Krasińskim nie tylko wypacza prawdę i tekst, ale co ważniejsza, obniża piękno poematu. A jest ono tak górne, tak czyste, że najbliższa może duchowi Krasińskiego osobistość, wnuk jego Adam, nie waha się jedyne go zwiastuna przyszłości widzieć właśnie w Pankracym. Już to samo, że ma do niego przystęp wizya Galilejczyka, że do duszy jego przedziera się pomimo wszystko i poprzez otaczający go pierścień ludzi, oznacza, iż był wielkim dostatecznie, aby mózgi zrozumieć prawa Ducha i wrócić do niego po krwawych kąpielach.

Niewłaściwości popełniane przez p. Kallenbacha — zresztą praca jego obfituje w wiele stronic doskonałych, pojęciami socjalnymi nieraz umie się wznieść do poziomu epoki — świadczą o zadawnionym nałogu. Nałóg złośliwości względem idei demokratycznych, ustawiczne karykaturowanie haseł wyzwolenia, partyjne, niemal sekciarskie podejmowanie tonu „starszych opiekunów narodu“, jakoby wymuszanie spowiedzi i przyjmowania sakramentów — oto zwykłe ozdoby naszych studyów nad wielkim poetą.

Mistrzem w takiej estetyce jest hr. Stan. Tarnowski, który jako *Senatus Populusque Polonus* w jednej osobie i todze, dzielnie się zasłużył koło zmniejszenia popularności Krasińskiego.

Inni wreszcie próbowali zupełnie schować przed światem niektóre medytacje filozoficzne Zygmunta, jako nie dość zgodne z dogmatami.

Ojcowie Zmartwychwstańcy, Kajsiewicz i Semeneńko, uznali, że nie należy ogłaszać drukiem rozprawy O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku. Znaleźli oni, że „utwór to niechrześcijański“, a ponieważ „zacny nasz zmarły daleko od siebie wszystkie te błędy precz odrzucił“, przeto „posypywać tym prochem jasne oblicze oczyszczonego potem krwawą pracą geniuszu, byłoby to nie tylko najwyższą niesprawiedliwością, ale jeszcze niemiłosierdziem, którego się nie dopuści ręka przyjacielska“.

Na szczęście wnuk poety — wzniosła i sympatyczna postać — daleki od małodusznych skrupułów, taktownie i zręcznie wyrok obu księży uchylił. Dzięki temu ocalał dla skarbnicy naszej poezji i poetyckiej filozofii jeden z najciekawszych pomników, zarazem *specimen* swojskiego, wielce uduchowionego panteizmu.

Ci wszyscy mniej lub więcej dostojni i mniej lub więcej uczeni aniołowie-stróże duszy Zygmunta Krasieńskiego w tem najczęściej mijają się z swą rolą, że tę duszę mu odbierają.

Duszą poety jest przedewszystkiem odrębną i nietykalną własność stanowiący świat jego uczuć. Mogą to być uczucia miłości zarówno jak nienawiści — ale stanowią jego prawo, którego nikomu gwałcić nie wolno.

Zamiarem zaś poety jest ten świat miłości lub nienawiści zaczynać w symbolicznych ludzi i symboliczne wypadki.

Duszę swojej młodości, swój ból i nienawiść świata, Krasieński wypowiedział stokrotnie, w poezjach i prozie, w listach poufnych i hymnach urzędowych, zaczarował ją zaś arcydzielnie, z całym natchnieniem wiosny życia, z całym uczuciwem bogactwem i rozumowym przepychem — w *Irydion* i *Nieboską Komedję*.

Czytelnik otumaniony przez opiekunów duszy Zygmunta, widzi w nim same świątobliwości, mesyaniczną, derwiszową ataraksję. Uczy się, że okres wrzenia i gniewnego miotania się na świat był jakimś krótkim i przejściowym. Musi wierzyć, że ten człowiek, tak wezbrany czuciem gwałtownem, iż w dwudziestym pierwszym roku życia zdolen jest komponować potężne, zwarte sprzysiężenia i walki na śmierć — tak lekko rozstawał się z ogniem swej namiętności i piołunową historyzofią, jak panienka idąca do ślubu rozstaje się z swą lalką.

A tymczasem wszędzie prawie i we wszystkich poematach, w *Przedświcie*, *Psalmach*, *Ostatnim*, *Dniu dzisiejszym*, w przedmowach i przypisach, w listach i zwierzeniach uczucie stawiania świata pod pręgierzem — gra donośnie, gra jako temat główny, albo jak echo,

do którego drogą kołującą poeta nawraca. Dźwięczy uporczywie, jak „owe katedry ponure jęki, owe podziemne akorda, bijące ku niebu“ — z „Trzech myśli Ligenzy. „Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychryścycznie, jak rozbiorem Polski“ — mówi w przedmowie do tego Przedświtu, gdzie śpiewa do Polski hasło zbawienia ludzkości czynem i duchem.

W Dniu dzisiejszym zaś woła Chór:

Prawem władnem ponad nami
Wiek ten uznał — wszechbezprawie,
W europejskich państwach ustawie
Nam kazano żyć zbrodniami i t. d.

Dusza Krasieńskiego przechodziła przez ten sam czyściec, z którego wyrosła III część Dziadów, i wszystkie groźby ludowego odwetu u Mickiewicza w jego pismach prozą i nienawistne; ostre jak kosa, cięcia krytyczne wymierzone we Francję i Anglię, opowiadanie Matki Makryny Mieczysławskiej — Słowackiego i tyle lirycznych klątw Norwida. Byli oni wszyscy — trzeba to przyznać — znakomitymi jasnowidzami szalbierstwa zachodniego. Dla tego właśnie ich mesyaniczne odstępstwa — jeśli odstępstwa — od poezji buntu i jadu, były tak wielkie i żywe, że wyrosły z gruntu, użyźnionego bezgranicznym bólem i niebosiężnym protestem.

Tem się właśnie różni ich mesyanizm lub kapłaństwo Ducha od stanowiska dzisiejszych przedrzeźniaczy mesyanizmu. Ci bowiem drapują się tylko w płaszcze owych wielkich, powtarzają ich programy wyschłą piersią. Ci bowiem nigdy żaru apostołskiego w łonach swych nie mieli, lecz po lichwiarsku ciągną zyski ze swej parady etycznej i parady patriotycznej. Ich tak zwana ideowość daje im w narodzie ogromne przywileje a naród otrzymuje od nich w darze świętoszkowatość i szarlataneryę.

Krasieński przeszedł owo piekło za życia, jak Dant (Przedświt). Nieba ani apoteozy tak mocno się nie przeżywa. Dla tego dzieła wykwitłe w czasie owego piekła, Irydion i Nieboska, są tak jasne, przejrzyste i lapidarne. Ażeby dojść do takiej pewności ręki w kształtowaniu poetyckiem swej idei i figur, trzeba z niemi żyć długo, przeżywać w roku jednym lat dziesiątki, i w związku tak ścisłym, jak Laokoon i synowie jego z wężem, jak Prometeusz z sępem.

Każdy, kto się nieco bliżej zetknął ze sztuką i poezją, zrozumie to odrazu. Takiego gruntu duszy i takiego podłoża myśli żadna ewo-

lucya nie zwieje — może je tylko przytłumić lub zakryć. Rycerstwo ducha pozostaje w poecie na zawsze, słyszenie „zdala tych szatanów wycia“ — trwa wiekuiście.

Jest w duszy Krasieńskiego pewien znamieny stosunek dumy do pokory. Duma nigdy nie znika, lecz prostuje się heroiczno-patetycznym giestem w kaźdem niemal jego słowie. A pokora nigdy nie rozrasta się zbytnio. Jest to taki stosunek, jak w Spowiedzi Napoleona. Bonaparte tylko częściowo wyznaje swe winy, i wyraźnie daje do zrozumienia kapłanowi, że umiera jako władca: „Bóg mi dał tę energię. Pozbyć się jej wtedy, kiedy się do Niego zbliżam, byłoby nie oddać Mu hołdu należytego. Pełen jestem czci świętej dla Jego wielkości i majestatu, lecz wielbić Go i chwalić jego głościć nie będę z odwroconemi oczyma“ *).

Dusza taka jest czemś a priori, i formuje się potem w dzieciństwie i młodości tą atmosferą uczuć, którą poeta oddycha. Wszystkie wpływy różnych poszczególnych pisarzy i filozofów, z których badacze Krasieńskiego upletli dziwaczną dla niego koronę, tak samo, jak to czynią z Słowackim — są tylko potwierdzeniem pierwiastków zasadniczych duszy. Pomagają im wyklarować się, przybrać kształt i wyraz. Krasieński rozumiałby świat i bez Saint-Simona i Enfantina i zbliżającą się walkę dwóch epok i ustrojów społecznych widział i czuł w krwawym biegu historii. Historia była w latach trzydziestych zeszłego stulecia tak wymowna i jasna, tak dobitnie i pamiętnie uczyła i wskazywała, że kto miał duszę wszechludzką, nie wielu potrzebował dla oryentacyi i przeczuć — książek ekonomicznych i publicystów.

Dusza władcy, sąducego i mściciela, przybrała u Krasieńskiego trzy postacie, na pozór różne i sobie wrogie, przedzielone tysiącami lat i bezmiarami różnic społecznych, w rzeczywistości zaś bardzo do siebie podobne. Irydion, Hrabia Henryk i Pankracy to odnogi jednego pnia. Wszystkimi miota gniewne quos ego na znikczemiały świat; Irydionem więcej anarchicznie, z całą pełnią nienawiści powszechnej; tamtymi dwoma — więcej politycznie. Hr. Henryk ma jednakową pogardę dla swoich braci po krwi, zwyrodniałych i małodusznych, nawet dla siebie samego, że zdolny jest jedynie „dramat układać“ i poetyzować. Idzie na śmierć z poczuciem beznadziejności. Szuka śmierci nie tylko dla tego, że poddać się i w układy wejść nie potrafi, nie tylko, żeby męstwem swem okupić bezmęstwo zgniłych rodów, lecz żeby przez swoje unicestwienie unicestwić swoją wiarę,

*) Przekład z francuskiego Z. Morawskiej. Pisma Krasieńskiego w wydaniu prof. Piniego.

pamięć tego co było, i samą nadzieję, że mogłoby być inaczej. „Poezyo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki“. Śmierć to bohatera, ale jeszcze więcej desperata, prawie śmierć samobójcy.

A Pankracy nie mniej zdaje sobie sprawę z wartości tłumów, którym przywodzi. To również władca, hrabia bez drzewa genealogicznego. Ludzie to tylko bezduszny materiał dla przyszłości, żer dla potwora postępu. Z zamkniętymi oczyma pędzi na oślepu ku wolności i budowaniu nowych gmachów społecznych, ale ślepy być nie pozwala mu widmo przeciwnika. Hr. Henryk ciągnie go ku sobie, magnetyzuje swoim urokiem, dumą i rasą, gościem nieprzestąpionej wyższości. O Hrabi wspomina prawie jak wzgardzony kochanek, którego nurtuje tęsknota, albo jak daleki brat. Pankracemu już prześwieca prawie myśl, że popełnia bratobójstwo. Te ukryte węzły współwielkości dusz wybranych a współwyższości ponad powszechność całą — łączące obu wodzów, Krasieński przyobłókł w mistrzowskiej subtelności słowa i niedopowiedzenia.

Owóz to blizkie duchowe powinowactwo bohatera Krasieńskiego, wychodzące z gruntu jego duszy — i ten grunt w swoim rodzaju jedyny, gorzki i słony — prześlępiono. Krytycy ocenili umiejętnie wiele szczegółów, lecz nie ujeli ducha obu całości. Napotykamy więc wiele pochwał dla znakomitego rysunku figur w *Nieboskiej*, dla wspaniałości zakończenia, dla realizmu scen, dla proroczego przewidzenia samych szczegółów walki społecznej. Najwięcej podziwu przypada zwykle na ów takt i miarę, z jakimi poeta rozdzielił światła i cienie, ażeby nie spostonować tendencyjnie Pankracego. Ale dziwić się nie było czemu, poeta czuł doskonale, że przeciwnikiem Hrabi jest ktoś większy nad zwykłego syna mieszczańskiego, ktoś powołany snadź przez samą fatalność i samą historię. Człowiek to „bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża — co wydobył się z nicości i zacznie może nową Epokę, jeśli go w tył nie odrzuce nazad, nie strąć do nicości“ — mówi Hrabia.

I czuł też dobrze Krasieński, że żaden z nich nie jest ostatniem słowem mądrości dziejowej, lecz obadwaj są jeno narzędziami. Gdyby Hrabia miał po temu władzę, nie gorzej od Pankracego zatopiłby społeczeństwo we krwi. Według Mickiewicza, który i w punkcie rozumienia *Nieboskiej* (Porównaj *Wykłady*) okazał się nieubłagane wielkim i nieomylnym, Hrabia jest czemś w rodzaju Sulli w walce z Maryuszem. Sulla „zalawszy krwią wszelki opór, nie wiedział co dalej czynić, dokąd kierować losy Rzeczypospolitej“; „dowiodł bezinteresowności własnej, ale zarazem okazał niedołętność starego Rzymu.

Byłoby tak niewątpliwie i z myślą, wyobrażaną przez Hrabiego, gdyby odniosła zwycięstwo". Zdanie to podnosi Kallenbach.

Mickiewicz jedyny wzniosł się do tego historyzoficznego widzenia rzeczy, które właściwe było Krasieńskiemu. Przeniknął on ów kąć wiecznościowy Nieboskiej. Zrozumiał ten odrębny wspaniały świat obrazów i uczuć panteistyczno-dziejowych, który stanowi udzielną własność i odrębność Krasieńskiego w plejadzie wieszczów polskich.

Mickiewicz ogarniał ludzkość i jej sprawy takim samem z nieba patrzącem okiem, jak Krasieński, i przeto dojrzał wiekiste pierwiastki jego poematu. Opiekunowie zaś jego duszy trzęsą się, żeby się tej duszy nie stała jakaś ujma, i pilnują, aby tylko wszystkie duszpasterskie apetyty znalazły w niej swoje zadośćuczynienie.

Nastręcza się teraz wielkie i wdzięczne zadanie: oświetlić w ten sposób duchowość Krasieńskiego, ażeby się ukazała w całym swym olbrzymim powabie jasnowidzenia. Pozwalać w dalszym ciągu na to, żeby między duszą narodu a duszą poety stała zaporą fałszu — jest bolesnem i upokarzającym.

Na fałsz ten składają się śmieszności obu stron: zwolenników i przeciwników Krasieńskiego. Pierwsi — wiemy już, jak go sobie przywłaszczają. Drudzy, koła tak zwane postępowe, wiemy już jak go odpychają. Jest to ograniczoność zgoła nie mniejsza od tamtej. Obrażać się na Pankracego? Że go poeta uczynił geniuszem, z rzędu geniuszów, którymi się posługuje historia? Że mu dał niezłomną wolę, odwagę i srogość? Jeżeli ludzkość jest jeszcze skazana w przyszłości na rewolucye, można i trzeba nad tą koniecznością płakać, ale trudno Pankracych przedstawiać sobie jako gołębnice z gałązkami oliwnemi nad potopem człowieczej niedoli.

W tym roku powracania myślą do twórcy, co mając lat dwadzieścia parę — zdołał tragedye ludzkich zbrodni i walk przeczarować w arcydzieła stylu i dostojności tonu, wszyscy powinni przed nim pochylać głowy w hołdzie i uwielbieniu.

CEZARY JELLENTA.

P R Z E G Ł Ą D.

NEO-MISTYKA „DOCZESNOŚCI“.*)

„Ten tylko wie, na co żyje,
kto wie, za co ma umrzeć“.
Dr. L. Posadzy.

Proszę mi wierzyć: jestem bardzo wrażliwy — nawet hyper-wrażliwy. — Umiem odczuć eteryczno-praniczno-fluidyczne drgania nietylko „nagiej“, lecz także i „kosmatej“ duszy. Wrażliwość moja jest niemal „cudowna“. Nieraz mnie się zdaje, że jestem stacją telepatycznego telefonu (oczywiście bez drutu). Czuję się wywołanym w licznych seansach spirytystycznych, którymi się bawią liczni wolnomyśliciele i bezwyznaniowcy, wyzwoleni z wszelkich przesądów i zabobonów; czuję (no, i świadom jestem), że tym licznym panom głupstwa i impertynencye (o groź!) gadam... Czasami się zdarza, że mój aparat telepatycznego telefonu notuje grozą ziejące głupstwa i idyotyzmy naszych bezwyznaniowców, rozpaczających nad tem, że czarny kot na ulicy kiwnął na nich ogonem... Najczęściej słyszę głosy naszych „wyzwalających się“ panienek, panien, matron i... metres... Lecz o tem cicho, szal Dyskrecya... „nie wypada“ (och! ach!) mówić o tem, co samo przez się rozumie... Wrażliwość moja jest tak wielka i... straszna, że gruboskórni artyści (nawet z marką i patentem „Chimery“) nazywają mnie „postrachem“ — „Skąd ta bestya wie o wszystkim — o tem, o czem nawet my nie wiemy?“ — wrzeszczy o północy mój telefon telepatyczny. „Znam wasze kochanki, do których wzdychacie, pisząc bzdury!“ — odpowiadam złośliwie. I słusznie: plotkarką jest dusza literata, *recte* artysty, który się awanturuje telepatycznie przez telefon...

Wrażliwość moja jest tak wielka, że po przeczytaniu kilku „docześnie wybitnych“ utworów literackich, rozkosznie (gdyby kurtyzana), przemawiających do pełnej kieszeni durniów „ze sfery“, trzy dni choruję na dezynteryę artystyczną. Mam wrażenie, że się napił spirytystycznie (pardon! chciałem rzec: spirytusowo) sfałszowanego wina... Po przeczytaniu utworów „docześnie wybitnych“ emancypantek, przez cały miesiąc choruję na świerzb żołądka — na chorobę, nieznaną jeszcze żadnemu z doktorów. Tak straszna jest wrażliwość moja!...

Lubię czyste oryginalne wino z Kany galilejskiej. Indyjskie wino kwasia minę. Jerozolimskie wino sprawia to, że człowiek staje się głuchoniemym. Paryskie wino nastraja duszę na nutę „tańca brzucha“... Wiem, że wygłaszam dziwne „symbole“ i nie wstydzę się wcale. Idzie za mną ktoś sym-

*) Z powodu książki p. T. Micińskiego p. t. „Walka o Chrystusa“.

boliczniejszy, himalayowo wyższy odemnie człowiek, który woła: „jestem człowiek wolny i przychodzę z gór“. — Ten-ci dopiero symbolicznie wyjaśni moje „symbole“. — Być wolnym od absurdu — jakże to rozkosz!... Zamoczyć strudzone nóżki w strumyczku górskim i lirycznie marzyć o szczytach gór i życia. Ewerest, Abakadabra, Om, Kazbek, Trismegista, Maya, Wezuwiusz, Korybant, Borgia (z nieodłącznymi bykami i cielećkami) i t. d. Ach, jakże to rozkosz! Być „Chmurami“ Arystofanesa — jakże to radość!...

Ja, biedny przewrażliwiony człeczyna — „podnózek aryjsko-himalayowohiamawatowych Tatr“ — „giermek“ maga X. z licznymi przydomkami, ja — zuchwały plebejusz *e tutti quanti* — ośmielam się być przekonanym, że można mieć wybitny talent pisania — stenografowania, a jednak nie mieć żadnego talentu myślenia i czucia! Ośmielam się zachęcać współczesnych poetów i literatów, aby utwory swoje pisali tylko gęsiem piórem; przynajmniej będą mieli natchnienie gęsi kapitolinijskich! Boć przecie improwizowane waryacje na temat muzealnie osobliwej mądrości (osobliwie zużytej i nadużytej) nie są natchnieniem. Wulkan (mówię stylem „magicznym“, modnym w Warszawie) natchniony jest swoją własną lawą, swoim własnym ogniem! Poeta, pozujący na maga, powinien być natchniony ogniem własnej mocy, a nie lawą bibliotecznej mądrości. — Wyznawcy Haeccla pono już zbadali, że mól biblioteki watykańskiej, mędrzy i mistyczniejszy jest od samego papieża! Faktem jest natomiast, że mól, pozerający księgi mistyczne, chce być większym od twórców mistyki. — O, jakże zuchwałą jest wrażliwość moja!...

Lecz do rzeczy: wyzwólmy się z absurdu.

Mam wstręt do t. zw. „dyplomacy artystycznej“. Wszak wiem aż nadto dobrze, że pracuję dla przyszłego pokolenia, o którym nie mogę zarozumiale sądzić, iż będzie głupie. Wstydzę się być skompromitowanym w oczach przyszłego pokolenia. Muszę zapomnieć o „osobistych znajomościach“ i mówić bezwzględną prawdę. Nie chcę, aby wnuk p. X. (nazwisko niecenzuralne) kwitujący mądrością rodu, w r. 1990 zaliczył mnie do grona tych „mądrych“ krytyków, którzy docześnie chwala... głupców, względnie utalentowanych grafo-manów. Nie chcę, aby przyszły następca p. Nowaczyńskiego zmuszał moją biedną duszyczkę do wylizania z „Rydwanu“ nazwiska swego za to, że w chwili osobliwie tragicznej bawiła się w snobizm. Po prostu, nie chcę być bohaterem operetki polskiej... Wprawdzie p. A. Grzymała Siedlecki straszy mnie, że spółki zarobkowe i ekonomiczne mają większe znaczenie, niżli moje i do mnie podobnych osobników „gadanie“ literackie, że poezya, sztuka, literatura jest tylko narzędziem polityki królów Ludwików, względnie mężów stanu, — wszelako jestem niezłomnie przekonany, że tylko dzięki poetom, królowie i mężowie stanu mogą być sławnymi! P. Grzymała Siedlecki raczy chcieć wziąć pod rozwagę swoją tę osobliwą prawdę, że nędznym jest król, marnym jest mąż stanu, o którym poeta milczy, który w pieśni ludu, w dramatach Szekspirów, Ibsenów, Calderonów, Racine'ów, Słowackich, nie żyje! Poeta jest równy królowi, panie Siedlecki! Poeta-obywateli Michał Anioł, Leonardo da Vinci i w. i. wszak odegrali wybitną rolę polityczną w wieku Odrodzenia. Poecie Byronowi Grecya najwięcej zawdzięcza wolność! „Zwaryowany“ J. J. Rousseau obalił tron Ludwików! A twórca „Marsyljanki“? A Mickiewicz?

Czy dla tego ma być „głupszym“ od marhrabiego Wielopolskiego, że był poetyczniejszy, obdarzonym mocą romantycznej sugestyi? Cała tajemnica tryumfu Napoleona polega na tem, że był nie tylko wodzem i politykiem, lecz także poetą, że umiał przemawiać do serca mas! O tem zapominać nie wolno. Wielkie czyny wielkich ludzi są tylko realizacją wielkich marzeń, wielkich poematów. Klasyczny dramat francuski wykształcił Napoleona! Wielka poezja tworzy wielkich bohaterów; spółki zarobkowe i ekonomiczne tworzą wielkich filistrów, snobów, mecenasów, którzy protekcyjnie klepią po ramieniu np. Szekspira — jako swego „ucznia“. — Tak, panie Siedlecki! A moje bezwzględne „gadanie“ ma tę wartość, że oczyszcza duszną atmosferę snobizmu i rozbudza tęsknotę do bohaterstwa! Mieczem pisać — oto moje marzenie...

Po tej koniecznej, niestety, uwerturze, rozpoczynam seans neo-mistyczny ku zdumieniu i przerażeniu „doczesności“, spragnionej sensacyjnej tandety.

* * *

Wielką jest wrażliwość moja — tak wielką, że nie umiem „artystycznie“ politykować i dyplomatyżować z moją własną duszą. Naiwnie przekonany jestem, że przecież dusza artysty nie jest dewotką, a tem bardziej kurtyzana, aby można było z nią bezkarnie (bez obowiązku płacenia alimentów) „politykować“ ku uciesze histeryczek i radości nakładców. Naiwnie twierdząc: kto nie rozumie swojej własnej duszy, ten nie powinien się oburzać, że nikt nie rozumie jego „dusznych wyznań“... Ach! Zgoda, zgoda, moi czytelnicy: jestem zacofany, tak naiwnie sądził! Jestem idiotą w stosunku do „geniusza doczesnego gatunku“, który duszę człowieka (bez różnicy płci) wystawia na licytację „artystyczną“ i urągliwie woła: „10 groszy za łokieć lirycznej poezyi, 30 groszy za metr sześciennej mistyki, 50 groszy za jedno westchnienie sprośne... 100 koron za jedną godzinę upodlenia... Poszukuję „pogromcy idei“... 1000 koron za jedno słowo, które na zawsze „utrąci“ Chrystusa... Poszukuję wielkiego łotra i Judasza... 5000 koron rocznej renty za artykuł zdrady!... Kto da więcej odemnie? Cha cha cha!“...

Mistyka nie jest mistyfikacją duszy, życia duchowego, a zwłaszcza Boga w Trójcy jedynego. Mistyka nie jest odwróceniem wartości żywota wiecznego! Mistyka — to idea, realizująca na ziemi Prawo Miłości Bożej! Chrystusowo usynowić człowieka — tać jest idea prawdziwego mistyka!... Mistyfikacją żywota wiecznego jest „mistyka demoniczna“, której manią jest: ciągły chaos! Chcąc być prawdziwym mistykiem, trzeba pokonać obłąd demonizmu słonecznie jasną myślą Miłości twórczej na chwałę Boga. Tajemnica lucyfera jest tajemnicą obłądu. Dusza człowieka, dążąc do Boga, musi przezwyciężyć sferę obłądu, t. j. lucyferyzmu. Jasnowidząca z Prevost wyznała, że Chrystus jest jedyną drogą, jednoczącą syna ziemi z Ojcem Niebios! Chrystus jest zbawicielem człowieka z piekła obłądu wiecznego — ze sfery chaosu... Tylko w imię Chrystusa można usłonecznić myśl człowieka, aby z mrocznego chaosu życia doczesnego tworzyła jasną Harmonię żywota wiecznego. Zasadniczą cechą demonicznej mistyki jest mania chaoty czności, niejasności, półcieniowości, księżycowości, makabryczności — w przeciwieństwie do mistyki chrześcijańskiej, której główną cechą jest

wola słonecznego ujarzmania mroków i chaosu, stworzenia Boskiej Harmonii żywota. Mistyk jest medyum Boga. *Sapientl sat.*

„Anioł Pański zstępował czasu pewnego w sadzawkę (zwaną Bethesda): i wzruszała się woda. A kto pierwszy wstąpił do sadzawki, po wzruszeniu wody, stawał się zdrowym“... (św. Jan, V. 4.).

Tak było w dawnych „głupio zacołanych“ czasach.

A w chwili doczesnej, cynicznie pozującej na „magizm i anielstwo“, co się dzieje? Oto lada literat-szarlatan z wody zabobonnego, obłąkanego (częstokroć nawet niechlujnego), leniwego, pretensjonalnego, uznania żebrzącego, snobicznego myślenia, przyrządza „wannę mistyczną“ i publicznie ogłasza, że wszyscy, którzy się w tej „wannie“ wykąpią, będą „magami, aniołami“, a nawet „bogami“! W „wannie“ doczesnej głupoty szarlatani topią myśl zdrową! Lecz już pora wykapać tych szarlatanów w zimnej wodzie źródła uczciwości i pokory! Już dosyć tej mistycznej psychopatyi! Precz z kultem umistycznionego bzika!...

Na samą już myśl, że lada znudzony sceptyk bawi się w mistykę, że lada snob kokieteryjnie nastraja się mistycznością, że lada megaloman udaje „maga“, — wstręt człowieka ogarnia. Już dosyć tej prostytucji mistycznej! Mistyka nie jest alkoholem... „Alchemia i czarna magia i wszystkie nauki tajemne (occulta), nieoparte na ścisłych doświadczeniach i matematyce, — to są bajki i banialuki i rozdęta wiatrem flaga szarlatanów, za którą podążają tłumy ogłupionej gawiedzi“ (Leonardo da Vinci).

* * *

Po przeczytaniu kosmetyczno-nastrojowo-tajemniczo-erotycznych neo-mistycznych utworów docześnie wybitnych „magów“ polskich, zachorowałem na *delirium tremens* z nadmiaru strachu o całość mojej inteligencji. Najodważniejszy, najpotężniej, najlepiej „inspirowany“, jedyny w Polsce „obronca Chrystusa“ powalił mnie na ziemię, wołając głosem „wiatru halnego“: „Nie tobie, zuchwały pigmeju *e tutti quanti*, mierzyć się z himalayową wielkością duszy mojej! Nie tobie, purchawko, grzybie, mówić o człowieku, który z gór przychodzi! Zgiń, bestyo apokaliptyczna!“...

Wpadłem w stan spirytystyczny „wieszczki“ Thebes.

Na moje rozpaczliwe wołanie przybiegł doktor wszech nauk spirytystycznych i własnoręcznie spisał na pergaminie „wizyjne prorocstwa“ duszy mojej...

Protokół doktora wszech nauk spirytystycznych.

Dnia 7. stycznia 1912 r. o godz. 12^{1/13} w nocy, p. Albin westchnął i groźnie krzyknął: „Precz z alkoholem! Precz z kawą czarną, herbatą, papierosami! Precz z mięsożerstwem! Czytajcie „objawienia“ Mulforda, Lutostawskiego, J. Jankowskiego, Papusa, Micińskiego i t. d., a będziecie nasyчени w wieku. Spożywać będziecie migdały niebieskie (5 franków sztuka), figi z drzewa wiadomości złego i dobrego (10 franków sztuka), rodzyunki erotyczne Bazylissy Teofanu (7 koron sztuka), praniczną wodę Gangesu (2 grosze litr), destylowany koniak francuski na piegi rozpusty (3 rb. flaszcza)... Kto chce zostać magiem, niech się zgłasza: Mr A b r a k a

dabra, Paris, rue Ponte Corvo Nro 777/13 (Nb. trzeba załączyć 100 franków za jedno słowo odpowiedzi)“...

D. 9. stycznia 1912 r. o godz. 1¹³/₉₉ w nocy, p. Albin tajemniczo wyszeptał: „Widzę... widzę... Meczet Aja Sofia, przeniesiony na barkach młodoturków do Paryża i zamieniony w perfumeryę. Mr Trismegista siedzi za ladą i liczy pieniądze.

— Chcę być mistycznie piękną, powabną, interesującą! — błaga stara panna z Warszawy.

— Niech pani zażywa migdały Astaroth. Służę pani. 100 franków do kasy.

— Chcę ujrzeć moją przyszłość! — dyskretnie szepce wielka pani z jeszcze większą przeszłością.

— Służę pani. Niech pani skryje się za tą assyryjsko-babilońską kotarą i rozbierze się do naga... 1000 franków za jeden seans do kasy.

— Chcę się nawrócić na jakąkolwiek wiarę! Błagam pana, Mr Trismegista, naucz mnie pan wierzyć! — prosi stara emancypantka z Krakowa.

— Służę pani. Oto są pastylki Dra Prique'a. 7 pastylek na dzień. 77 franków do kasy...

— Chcę zrodzić geniusza, zbawiciela! — przymila się wesoła wdówka.

— Niech się pani uda do maga Papusa, który wyleczył carową. 500 franków do kasy za poradę.

Mr Trismegista chwali się, że zarabia dziennie 10.000 franków na samych tylko migdałach mistycznych“...

D. 13 stycznia 1912 r. o godz. 11⁷/₄₉ p. Albin inspiracyjnie zawołał: „Nareszcie widzę ich razem! Cicho, szal! Słuchajcie! P. Tadeusz Miciński rozmawia z Mefistofeilesem.“

Mefistofeles: Przychodzę ci oznajmić, że jesteś moim uczniem! Daremnie łasisz się do Chrystusa, klepiąc go po ramieniu „ręką obrony“!..

P. Tadeusz: Zuchwały jesteś. Porywasz się z motyką logiki czarciej na słońce mojej wiedzy tajemnej...

Mefistofeles: Chcę przekonać ciebie, że mam rację.

P. Tadeusz: Ja budowniczy nadgwiezdnych miast...

Mefistofeles (*przerywa*): I t. d. Znam tę piosenkę. Lepiej odemnie umiesz się chwalić... Lecz mówmy konkretnie. Jaka jest „filozofia“ twoja? Na pytanie, co to jest dusza, odpowiadasz w duchu mojej nauki: „jest to konieczność być wszystkim w tej próżni, gdzie niema niczego, prócz kłębiących się męczarnianych smug... patrząc w moją duszę własną, widzę w niej mroki... jestem nie wiem, płynę skąd, nie wiem!“... Cha-cha-cha! Wszak to moja filozofia!..

P. Tadeusz: Dudni dyabeł, dudni w cembrowanej studni...

Mefistofeles (*przerywa*): Dusza twoja chudnie cudnie!.. Cha-cha-cha! Twoja dusza „nie da się wyrazić ani przez sny, ani przez miłość, ani przez tęsknotę, ani przez wiry zwątpień... ani przez Boga, unoszącego się nad tym chaosem ciemnym, ani przez lucyfera, który zeszedł w otchłań, o której Bóg zapomniał“... Chachacha! Wszak to moja filozofia! Ja twierdzę, że tylko dusza dyabła nie da się wyrazić niczem, bo jest niczem! Niewysłowienie przykro mi uczyć ciebie katechizmu Chrystusa, którego bronisz przed głupcami. Z boleścią przypominam ci prawdę, nawet

dewotkom znaną, że dusza religijna wyraża się twórczo, pozytywnie, albowiem jest wolą żywota wiecznego. Dusza niewoli nie wie, czym jest, czym się wyraża. Jesteś moim niewolnikiem, p. Tadeuszu. Nadaremno szukasz wyrazu, nadaremno łąsisz się do Chrystusa... Jesteś wielkiem niczem, jako i ja, mistrz twój!...

P. Tadeusz: Nie jesteś zdolny zrozumieć wiedzy mojej. Komponujesz purchawkowe bredy... Ja nawet od dyabła żądam powagi myślenia...

Mefistofeles: Sam siebie nie rozumiesz i chcesz, aby ciebie dyabeł zrozumiał! Chachacha! Panie Tadeuszu, wylecz się z choroby megalomanii. Przestań oburzać się na durniów, którzy nie mogą zrozumieć twojej niezrozumiałej duszy bez wyrazu! Pamiętaj, że nawet dureń ma logikę swej własnej egzystencji.

P. Tadeusz: Żądam od ciebie ofiary z arogancyi...

Mefistofeles: Najpierw ty sam wylecz się z arogancyi w stosunku do Boga i lucyfera! Uroczyście oświadczam ci, że jeżeli i nadal będziesz banalizował, kabaretyzował imię pana mego, lucyfera, będziesz ubiczowany na rynku krakowskim — na tem samym miejscu, gdzie Kościuszko przysięgał.

P. Tadeusz: Szydę z rozpaczy ginących gwiazd...

Mefistofeles: Przychodzę do ciebie z żądaniem, abyś przestał być złym uczniem moim. Przestrzegam cię po raz ostatni... Utwory twoje „Noc Rabinowa“, „W mroku gwiazd“, „Książ Patiomkin“, a zwłaszcza „Bazyliśsa Teofanu“ są hymnem na cześć Pana chaosu i absurdu, lucyfera. Godnie spełniłeś posłannictwo swoje. Byłeś puryfikatorem duszy katolickiej... Nagrodzony zostałeś tytułem maga... Nie rozumiem, po co ty się łąsisz do Chrystusa. Ażali potrzebujesz lepszej reklamy od tej, jaką ci daje lucyfer? Takich, jak ty, demonicznych obrońców Chrystus nie potrzebuje. Wylecz się z komicznej illuzji, że broniąc Chrystusa robisz Mu zaszczyt... Stań się realnie i wolno myślącym człowiekiem. Wojna europejska jest dzisiaj w modzie. Na tej wojnie możesz zarobić więcej, niżli na „Bazyliśsie Teofanu“... Pisz traktat mistyczny na temat wielkiej wojny. Wygotuj plany walnej bitwy pod Waterloo. Możesz otrzymać tytuł marszałka polnego i szefa sztabu armii polskiej... Tylko przestań łąsić się do Chrystusa!...

P. Tadeusz: Myślę o tem. Lecz cóż się stanie z ukochaną Bazyliśszą, która powinna zaimponować nawet Francji w przekładzie Syryjczyka?

Mefistofeles: Kopnij tę wiedźmę nogą! Upewniam cię, że Bazyliśsa jest stokroć gorszą babą, niżli sławna pani Steinheil. Chyba już boleśnie odczułeś „*nux vomica*“, łudząc się, że Bazyliśsa jest kochanką pana mego, lucyfera. Wiedz, panie Tadeuszu, że Bazyliśsa do rozpaczy doprowadza lucyfera, który — chcąc się jej pozbyć — ma zamiar nawrócić się na klerykalizm krakowski. Gotuje się wielka niespodzianka dla ciebie. Nie tylko w Chinach, lecz i w piekle odbywa się rewolucya. Stań na czele piekielnej rewolucyi!... Przestań łąsić się do Chrystusa. Wyrzuć z głowy tę manię ośmieszania byków Borgia'szowych! Stań się mężem, wolno myślącym! Przestań walczyć z Niemojewskim tylko o pojęcie Chrystusa. Wolno myśląc, zrozumiesz, że niema powodu do „walki o Chrystusa“. Dla Niemojewskiego Chrystus również jest tylko symbolem! Przecież

ty, panie Tadeuszu, nie wierzysz w Chrystusa — jako Syna Bożego, Zbawiciela świata, Króla nieba, ziemi i piekła po wsze czasy! Ty nie jesteś wyznawcą Chrystusa! Bronisz go z nadmiaru małoduszności, z nadmiaru strachu o ambicję literacką... Jestem przekonany, że ty, p. Tadeuszu, nie chciałbyś być ukrzyżowanym z miłości dla Chrystusa — jako Boga. Do tego stopnia jeszcze nie... zdziwaczałeś... Przystań być mistykiem. Perwersją seksualną jest doczesna mistyka. Dzisiaj najwięksi erotomani stroją się w szaty magów, — tworzą „tajemną“ *Ars a m a n d i*... Chyba wiesz, czem się stała mistyka w Paryżu? Fabryką aniołków! Wstydź się należeć do grona mistyków. Stań się realnie i wolno myślącym mężem. Chciej zrozumieć, że w imię *Tajemnicy* nie wolno purchawkowych bzdurstw pisać. Pan mój, lucyfer, raczył o tobie tak się wyrazić: „P. Tadeusz poszukuje wielkiej logiki życia nielogicznie. Wciąż każe mi wygłaszać głupstwa. Obawiam się, że zechce przerobić mnie na obraz i podobieństwo Chrystusa, a Chrystusa na obraz i podobieństwo mojej... Naucz go, kochany Mefistofelesie, logiki życia. Powiedz mu, niech się uda do p. Berenta, który zasieje puste łany duszy jego wspaniałą ozimiałą! Pocziesz go, że z tej oziminy napewno coś wyrośnie“... Przystań łąsić się do Chrystusa, panie Tadeuszu! Bądź Faustem polskim. Przyrzekam ci, że nie zabiorę duszy twojej do piekła, które już się modernizuje w duchu konstytucji... chińskiej!...

P. Tadeusz (*nagle*): Uciekajmy! Oto idzie tu p. Albin Herbaczewski e *tutti quanti* z kropidłem w ręku... Uciekajmy! Rozmowę zakończymy w kawiarni „Pod złotym cielcem“...

Po wygłoszeniu tej apokaliptycznej wizji, p. Albin zemdłał. Gdy się obudził z katalepsji, kazał mi dopisać ku przestrodze niedowiarków następującą sentencję:

„Ponieważ głos mój nie szedł w kierunku poklasku, ani nie dał się użyć za narzędzie dla jakiegokolwiek, choćby zbawiennej partii, czy instytucji, muszę ten głos uznać za inspirację, t. j. objawienie“... (vide „Walka o Chrystusa“ str. 137).

Kraków, w styczniu 1912 r.

J. ALBIN HERBACZEWSKI.

OPOKA MESYANIZMU.

Z powodu książki Maryana Zdziechowskiego „U opoki mesyanizmu“.

Pisarzem politycznym jest co drugi prozaik i co dziesiąty poeta polski. Powiedziano o nas, że jesteśmy poetami w polityce i politykami w poezji, a wynikiem tej właściwości duszy polskiej jest polski mesyanizm. Wyraz „mesyanizm“ należy do najbardziej niejasnych, oznacza szereg poglądów, niezupełnie pokrywających się z sobą. Przepaść między Hoene-Wrońskim a Krasieńskim, a choćby między „Irydionem“ a „Przedświtem“ jest widoczna. Zresztą wszelkie inne „izmy“ cierpią na niedokładność definicyi, a raczej główną racyą ich bytu jest brak ściślej definicyi tego, co mają oznaczać. Jednak mało jest wyrazów, w których określeniu byłoby tak trudno zdać sobie jasno sprawę z „*differentia specifica*“ i „*genus proximum*“, jak kiedy mowa o mesyanizmie.

1) Nazwą mesyanizmu w najobszerniejszym znaczeniu możnaby objąć wiele sprzecznych poglądów na świat i dążeń, których jedyną cechą wspólną jest nadzieja lepszej przyszłości. W tym sensie można mówić o mesyanizmie żydowskim, polskim i rosyjskim, o mesyanicznych świętych wojnach mahometan; mesyanizmem jest dążność do wcielenia Chrystusa w życie nietylko indywidualne, ale społeczne, wiara w „jedną owczarnię i jednego pasterza“, wyjście z błędnego koła konfliktów międzynarodowych za pomocą idei chrześcijańskiej; mesyaniczną polityką (*contradictio in adjecto!*) była średniowieczna polityka papieża i cesarzy, mesyanizmem wreszcie są wszelkie utopie społeczne. Samo przez się jest widoczne, że takie pojęcie mesyanizmu ma zbyt wielki zakres.

2) Biorąc pod uwagę mesyanizm jako antytezę nacyonalizmu czyli „egoizmu narodowego“, jak go pojmuje prof. Zdziechowski, otrzymamy jako *genus proximum* kosmopolityzm. Mesyaniczność polega na przeciwstawieniu polityki i etyki, specjalnie etyki chrześcijańskiej, Mesyanizmem w tem znaczeniu jest kosmopolityzm chrześcijański i Norwidowe pojęcie ojczyzny, jako zbiorowego obowiązku wobec ludzkości; mesyaniczną jest idea „Irydiona“. Jest to mesyanizm chrześcijański, czyli po prostu chrystyanizm, bowiem w pojęciu chrystyanizmu zawiera się idea misyjna zdobycia całej ludzkości dla Chrystusa i oczekiwanie Królestwa Bożego.

3) Mesyanizmem właściwym jest mesyanizm narodowy, którego dyferencję specjalną stanowi wiara w posłannictwo, w wybrańczą misję narodu. Uczuciowe uzasadnienie idei posłanniczej jest bardzo proste, gdy idzie o Polskę. Rozbiór Polski był czynem etycznie złym, politycznie dobrym, w polityce bowiem na wieki wzorem pozostanie Machiavelli. Stąd związek losów Polski z ideą Chrystusową; „uchrześcijanienie“ zaś polityki (termin Norwida) jest równoznaczne z jej unicestwieniem. Tak pojęty mesyanizm jako wyjaśnienie upadku Polski jest tylko poetyczną analogią Polski i osoby Chrystusa. Jako ewangelia przyszłości jest mistycyzmem narodowym, czemś irracjonalnem, religią narodową, nie dającą się rozumowo uzasadnić. Nie jest to bynajmniej zarzutem, bo i dogmaty religijne są irracjonalne. Ale mistycyzm narodowy jest w sobie sprzeczny, przeciwny kosmopolityzmowi chrześcijańskiemu; prowadzi do nacyonalizmu, jako poczucie specjalnej misji, wybrańczej wyższości narodu. Dowodem rosyjskie słowianofilstwo, w osobie Aksakowa przemienione w brutalny nacyonalizm. Na odwrót zresztą, w kosmopolityzmie chrześcijańskim tkwią zarody niebezpieczeństwa z punktu widzenia niepodległości, a więc polityki narodowej *par excellence*. Mam na myśli pobłażliwie traktowane przez prof. Zdziechowskiego zapatrywania Jerzego hr. Moszyńskiego. — *Les extrêmes se touchent...* Gdyby poglądy hr. Moszyńskiego, pisarza gołębij szlachetności, znalazły w społeczeństwie polskim taki oddźwięk, jak poglądy Aksakowa, nazwanego przez prof. Zdziechowskiego „nikczemnikiem“, w społeczeństwie rosyjskiem — wynikałyby stąd skutki polityczne, zapewniające zwycięstwo rosyjskiemu egoizmowi narodowemu.

Trudność dokładnego zdania sobie sprawy z mesyanizmu i jego określenia wynika z jego irracjonalności. To też najkonsekwentniejszym mesyanizmem jest mistycyzm narodowy krańcowy, przenoszący ojczyznę w świat

Ducha, w założeniu swoim irracjonalny. Ten rodzaj mistycyzmu, z ciasnego, politycznego stanowiska, wydaje się najniebezpieczniejszym dla realnego bytu narodu. Królestwo Boże, na ziemi, czy w niebie, to ideał, coś z samej definicji nierealnego. Nie świadczy to jednak przeciw idealizmowi wogóle, ani polskiemu w szczególności. Wartość człowieka — i narodu — polega na uznaniu przezeń wyższości ideału nad rzeczywistością. A realne marzenie o niepodległości — to również idealizm. Duszę Polski, jak duszę u Platona, jeden z jej rumaków ponosi ku górze, drugi ku dołowi. Dziś — jak za czasów Mickiewicza — żywotny jest mesyanizm w wszelkich odmianach swoich, choć żywotny także nacjonalizm polski, niekiedy w swoich ziemskich marzeniach bardzo nierealny, czasem mesyanizmem przepojony, często z etyką niezgodny: Rzeczywistość i ideał to dwa światy, które chociaż mogą się wzajem przenikać i uzupełniać, jednak odmiennymi się rządzą prawami. Mimo to na szczycie ludzkości zawsze stać będą ludzie, którym przyswieca wiara w ziszczenie się ideału. Ale czy wystarczy wierzyć?

Książka prof. Zdziechowskiego daje odpowiedź na to pytanie. Mesyanizm jego jest kosmopolityzmem chrześcijańskim: ewangelią jest mu „Irydion“.

Kraśński przeżywszy wallenrodczną nienawiść do Rosyi znalazł ukojenie w idei Chrystusowej. „Irydion“ to wyżyna metafizycznych sięgająca tragedia zemsty, syntezy wielkiej miłości i wielkiej nienawiści. Ale właśnie dlatego, że tragedia, zemsta nie może w niej tryumfować. W epilogu wielka namiętność ustępuje miejsca wielkiej, mesyanicznej idei: „Idź i czyn, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać“...

Książka prof. Zdziechowskiego, poświęcona nacjonalizmowi i mesyanizmowi rosyjskiemu, a w małej części także polskiemu, jest jakby rozwinięciem idei „Irydiona“.

W czynie, w doskonaleniu się moralnem, widzi autor drogę do odrodzenia narodu. Wraz z Szczepanowskim znalazł w mesyanizmie polskim... „objawienie ducha nowego — objawienie, które przeciw straszному prawu walki o byt i przeciw patryotyzmowi nienawiści na tej walce opartemu, zwiastowało ewangelię nowego patryotyzmu, który miłością jest własnego narodu, jako nosiciela myśli Bożej, który nie zna nienawiści, a głosi, jako cel dziejów, harmonię narodów, spełniających — każdy w swoim zakresie — wyznaczone im przez Opatrzność posłannictwo“.

I może powtórzyć za Szczepanowskim: „Wierzę ale umiejętnie udowodnić nie potrafię ani ja, ani nikt inny. Ale też przeciwnego twierdzenia nikt mi nie udowodni, dopóki ta księga, zamknięta siedmiu pieczęciami, historia ludzkości, nie będzie spełnioną z biegiem czasów i nie stanie otwartą przy sądzie ostatecznym“.

Życie sprawdzianem jest prawdy. Myśl tę w filozofii współczesnej konsekwentnie rozwijają pragmatyści. Warto przeto przypomnieć, że już Cypryan Norwid bardzo jasno ją sobie uświadomił i sformułował, że jest to zresztą myśl całej polskiej romantycznej filozofii, wynikła z głębokiego przejęcia się duchem chrześcijańskim.

Prawda o przyszłości może być tylko przez przyszłość sprawdzona.

Trzeba więc przyszłość tę ziścić przez pracę dla niej, przez czyn. Czyn zaś wymaga wiary.

Sprzecznosc więc między ideałem a życiem, nie może być rozstrzygnięta teoretycznie, rozumowo. Uczucie miłości dla ideału nie mogąc za władnąc dziedziną „czystej“ myśli, ma na swe usługi wolę i czyn. I na tem polega irracjonalność ideału.

Książka prof. Zdziechowskiego jest opozycją nietylko przeciw nacjonalizmowi, ale i przeciw racjonalizmowi. To też godzi się zwrócić uwagę na właściwy charakter jej antiracjonalizmu, na jej modernistyczne sympaty. Współczując z przeciwstawiającym się racjonalizmowi oficjalnej scholastyki Kościoła modernizmem, czyli „moralizmem“, który „szuka Boga w otchłaniach sumienia“, prof. Zdziechowski śledzi z zajęciem analogiczne objawy w piśmiennictwie rosyjskiem. Dwa bieguny religijnej myśli rosyjskiej to Wł. Sołowjew, pojmujący religię jako „świadomość moralną“ i Borys Cziczerin, oznaczający ją jako „postulat rozumu“. Cziczerin świadczy jednak poniekąd o możliwości zgodzenia dogmatyzmu racjonalistycznego z dogmatyzmem moralnym, czyli „idei jedności“ z „idea wolności“ religijnej.

O syntezie tych idei jako „całkowitej świadomości“ marzył Chomiakow i widział jej ucieleśnienie w prawosławiu. Nie brak jednak w Rosyi od czasów Czaadajewa myślicieli, widzących istotną prawdę religijną w katolicyzmie, odrodzenie Rosyi w unii z Rzymem. To ideał Sołowjewa. Współcześnie marzenie o jedności Kościołów wyraża się w odróżnianiu mistycznego Kościoła „wiecznego“ od Kościołów „historycznych“, o czem pisze ks. Grzegorz Trubecki w listach do prof. Zdziechowskiego, cytowanych w książce. Powyższe myśli o odrodzeniu Rosyi, pokrewne duchem poglądom modernistów zachodnich, rzucają też pewne światło na mesyanizm prof. Zdziechowskiego.

Książkę prof. Zdziechowskiego powinien przeczytać każdy myślący Polak. Oddawszy hołd jej zasadniczej idei byłoby banalnem wyliczać jej „ciche cnoty“, jak sumiennosc i jasność w przedstawieniu cudzych poglądów, szeroki pogląd na piśmiennictwo rosyjskie — i europejskie, erudycję filozoficzną i t. d. Byłoby też zbyt trudnem szczegółowo rozpatrywać jej treść bogatą.

Gdyby trzeba było w kilku słowach wyrazić wrażenie, jakie pozostaje po przeczytaniu, to przytoczyłbym aforyzm nieznanego autora, przepisany z marginesu starej książki:

*Contra spem sperare solent morituri Poloni
Contra spem decet otiose Christianos.*

KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI.

WYBÓR MYŚLI VOLTAIRE'A.

(Voltaire: Refleksye. Wybrał i przełożył Grzegorz Glass).

Ciekawą książką obdarzył literaturę p. Grzegorz Glass: Wyborem myśli Voltaire'a z dzieł, dotychczas na polskie prawie nie tłumaczonych. Nie jestem zwolennikiem Voltaire'a, zgadzam się jednak na jego zdanie, że niema książek niebezpiecznych, są tylko zbrodniczo-nudne. Wybór

myśli Voltaire'a jest książką arcyciekawą, a nadto kształcąca, daje doskonale poznać oblicze duchowe autora „Candid'a”. A przytem nikt tak nie pobudza do myślenia, jak ten szermierz wolnej myśli i mistrz francuskiego słowa, krzewiciel idei humanitarnych, pogromca przesądów i fanatyzmu, świetny satyryk i dyalektyk, sensualista, racjonalista i sceptyk w jednej osobie, pełen esprit, wszechstronny aż do sprzeczności, lecz nie do płytkości. Tuzin dzisiejszych wolnomyslicielat mógłby się pożywić okruchami z jego stołu; góruje nad nimi także tem, że nie jest, jak się sam wyraził, „osobistym nieprzyjacielem Pana Boga”.

Są niewątpliwie u Voltaire'a rzeczy, za które p. Andrzej Niemojewski nazwałby go obskurantem, (przy sposobności posądziłby go może o semickie pochodzenie), Dr Augustyn Wróblewski zelżyłby go mianem dualisty, a p. Colonna Walewska zrobiłaby go bohaterem powieści. Gdyby Bóg nie istniał, należałoby go stworzyć — oto hasło Voltaire'a, które dziś nabiera coraz większego znaczenia, tylko w innej formie. Sam Voltaire za-nadto był racjonalistą, ażeby w rzeczach religii uznać wyższość wiary nad rozumem i wyższość moralnej strony człowieka nad teoretyczną. Trzeba było dopiero Kanta i „Krytyki praktycznego rozumu”, której wartość wzrasta dziś w oświeceniu prądów, obejmowanych brzydka nazwą „modernizmu”. Voltaire utożsamiał religię z zabobonem i nie wzniósł się ponad racjonalistyczny teizm, który jeden z współczesnych mu przeciwników, dobroduszy Stanisław Leszczyński, zwany „filozofem dobrodusznym”, uważał za gorszy od ateizmu, spodziewał się zwalczyć „par le simple bon sens” i w tem wybijaniu klina klinem okazywał się nieodrodnym synem swego wieku. To też utalentowany eklektyk i znakomity pisarz Voltaire nie potrzebował się obawiać ani króla Lotaryngii, ani innych krytyków i mógł być prawodawcą nie tylko dobrego, pseudoklasycznego smaku; wpływ jego naówczas był niezwykłony i jednał mu nawet przyjaźń głów koronowanych, którym wprawdzie schlebiał, niemniej jednak podkopywał ich powagę. Dla nas dzisiaj najsympatyczniejszym jest mimo wszystko sceptycyzm Voltaire'a, w pismach późniejszych coraz wyraźniej kłóący się z racjonalizmem i prowadzący go niekiedy do agnostycznego „Ignorabimus”.

Sceptycyzm nie wytrącał jednakże Voltaire'owi pióra z ręki. Aż do końca swego długiego życia autor „Philosophie de l'histoire” (pierwszy użył tej nazwy) był czynny jako poeta, popularyzator filozofii, jako historyk, przenikliwie badający obyczaje i psychologię ludów. W tej pracy natchnieniem była mu często nienawiść do kleru i do wszelkich religijnych kultów. Z tego źródła wynikła ostra, bardzo złośliwa i dowcipna krytyka chrześcijaństwa, w której objawia się nie Voltaire uczony i filozof, ale satyryk i agitator; szczególnie używał sobie na Św. Inkwizycyi i Jezuitach. W krytyce chrześcijaństwa i Kościoła nie prawdy, lecz karykatury szukać należy; ale pamiętajmy, że były to czasy, w których nawet biskup Krasicki pisze „Monachomachię”, a papież znosi zakon Jezuitów. Niektóre rozstrząsania Voltaire'a żywo przypominają Nietzschego, który mu dużo zawdzięczał i przez pewien czas wpływowi jego ulegał.

Voltaire w czytaniu nietylko niezwykle zajmuje, ale działa też dodatnio na myślenie chociaż często à rebours. Wszystkie owe cechy charakterystyczne Voltaire'a można odnaleźć w przekładzie p. Glassa. Przekład jest

twórczy, to znaczy, że gdyby nie karta tytułowa możnaby wziąć „Refleksye“ za nową książkę autora „Błysków“. Być może, że tu i ówdzie tekst polski nie ma jasności i przejrzystości oryginału, ale niekiedy za to zyskuje większą żywość i siłę wyrazu.

Biorąc do ręki książkę żałujemy, że tłumacz nie zaopatrzył jej charakterystyką osobistości Voltaire'a („Przedmowa“ interesuje nas tylko ze względu na osobę tłumacza, umieszczona przy końcu relacya o procesie Calas'a ze względu na współczesną Wolterowi epokę). Przeczytawszy „Refleksye“ przekonujemy się, że ten doskonały wybór myśli dość nam mówi o umysłowości pana de Voltaire. A jakkolwiek prywatne życie p. Arout'a było rzeczywiście bardzo ciekawe, to jednak możemy spuścić na nie zasłonę: wszak był to „wolnomysliciel“, a wolna myśl może bardzo dobrze iść w parze choćby z brakiem charakteru.

Podnosi wartość książki bibliografia polskich przekładów Voltaire'a. Brak w niej nazwiska Ludwika Osńskiego. Zresztą jest to jeden z najlepszych przygotowanych tomików *Symposionu*.

KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI.

„INTERLUDYA“.

Pan Michał Sobeski wydał już drugi tom studyów „z pogranicza sztuki i filozofii“ p. t. „Interludya“. (Poprzedni nosił tytuł *Przędziwo Arachny*). Książka zasługuje na omówienie już choćby z tego względu, że dziedzina opracowywana przez p. Sobeskiego jest u nas bardzo zaniedbana, tak ilościowo jak i jakościowo. Przytem książka usiłuje być jednym z pierwszych ptaszków, lecących z zachodu, z dużą kolorową płachtą Bergsonowskiego alisza.

Lecz doznałby zawodu i okazałby się zbyt wymagającym ten, kto by się spodziewał po tej książce czegoś nowego. Książka jest zbiorem artykułów, w których autor opracowuje szereg zagadnień pod kątem widzenia co prawda nie nowym, ale usiłuje zgromadzić sobie i czytelnikowi przed oczyma całość kształt tych zagadnień i ich historię od Thalesa do Bergsona.

Wszystkie niemal rozwiązania znajduje autor w Bergsonie, choć i myśli własnej często wolny bieg daje.

I tak: w Bergsona koncepcyi materji i pamięci należy szukać ostatecznych korzeni tragizmu („Z filozofii tragedji“), od Bergsona datuje powagę przeciwstawienia poznania intuicyjnego poznaniu dyskursywnemu, a wszędzie wprowadza Bergsonowską metodę z pewną jednak powściągliwością — że tak powiem — literacką.

Rozpatrując zagadnienie, doprowadza je autor do kresu empirycznej sprawdzalności — potem wkracza na drogę metafizyki, rozpatrując ją historycznie — a załatwiwszy się z nią krytycznie — dochodzi do teje metafizyki na drodze analizy doświadczenia estetycznego.

Więc w zagadnieniu „Idea w sztuce“ rozumowanie autora przechodzi takie fazy: swoistą cechą dzieła sztuki nie może być 1) myśl, 2) ani nie jest ono odbiciem idei Platonskiej, 3) ani też forma nie jest cechą dostateczną — tylko: „piękno zasadza się na szczególnym stosunku uczucia do formy“.

Aby tego dowieść podejmuje autor wielki, a niewdzięczny trud. Wprowadza cały aparat przeglądów filozoficznych i estetycznych.

To jest jakby jedna strona metody autora.

Drugą wielce charakterystyczną cechą tej metody jest sposób wprowadzania zagadnień.

Oto autor operuje pewnego rodzaju manewrem pedagogicznym. Mianowicie zadaje sobie i czytelnikowi retoryczne pytanie, motywując przy tem racyę tego pytania.

Oto przykłady: (str. 55). „Czy w mistyce jest miejsce dla indywidualności? Odpowiedź, na pierwsze wejrzenie, zdaje się niechybnie brzmieć — nie“. I tu stara się wykazać racyę tego „nie“, aby potem zatryumfować jak najzupełniuszem „tak“. Albo: „Jeżeli sztuka rzeczywiście uzmysławia idee, wówczas artyści chyba sobie z tego sprawę zdawać powinni. Tymczasem każdy z nich odpowie nam bez wahania: nic o tem nie wiemy!“ (Nas zupełnie nie dziwi ta niewiadomość — nie jest więc zgoła argumentem).

Innym znowu razem wmawia w nas autor paradoksalność swego twierdzenia. „... Uczucie jest zasadą, kształtującą formę. Na pozór zdaje się powyższe orzeczenie być paradoksalnem“. Nikomu się to twierdzenie paradoksalnem wydać nie może, kto wie przynajmniej, że choćby stany psychiczne wogóle są zasadą, kształtującą mowę.

Zato paradoksalnem (tylko w innym znaczeniu) jest dowodzenie autora: „Otóż sztuka może wyrażać uczucia wyłącznie za pośrednictwem materiału. Lecz materiał jest przedmiotem, zaś uczucie przeżyciem podmiotowym“...

Innym znowu razem zapewnia nas autor, że „między filozofią a sztuką plastyczną zdaje się na pierwsze wejrzenie nie istnieć żaden związek“, czemu od razu nie wierzymy.

Gdy autor z jednej strony usiłuje zapewnić swęj książce pozory naukowości — z drugiej strony grzeszy stylem całkiem „literackim“, a często fatalną co najmniej nieściślnością. Fatalną koordynacyę: „marmur, barwa, dźwięk“ uważalibyśmy za przeoczenie, gdyby nie okoliczność, że powtarza się w książce wielokrotnie.

Książka p. Sobeskiego przedstawia mimo braków, o których napomknąłem, niepowszednią wartość dla naszego życia umysłowego.

Mam tu na myśli wartość jej popularyzacyjną. W jasnym, przejrzystym przeważnie wykładzie zaznajamia czytelnika z zagadnieniami pierwszorzędnej wagi, pobudza go do myślenia i zachęca do zajęcia się tem, co powinno być powietrzem codziennem dla kulturalnego społeczeństwa.

Z drugiej strony książka ta zawiera w swojej wrażliwości na filozofię modną pewne niebezpieczeństwo: może stać się jedną z podpór snobizmu intelektualnego, grasującego tak wielmożnie szczególnie wśród młodszej generacyi naszego społeczeństwa.

Przypuszczam, że na karb pośpiechu należy złożyć całość stylu książki, który z jednej strony nosi cechy lekkości, z drugiej grzeszy zwrotami i formami, jak: „przeacza“, „spływ“, „założyć stosunek“, szczególnie nadużywane słowo „trywialny“ (w znaczeniu: banalny, zbyteczny...) i wiele, wiele innych. Termin zaś „uobrażenie“, „uobrażeniowy“ — jest, przynajmniej fonetycznie, mocno nieudały.

EDW. HOSZOWSKI.

SATYRA W SZOPCE.

Odnowiciele szopki krakowskiej, Boy i Taper, są sprytni i utalentowani. W roku zeszłym byli także i zjadliwi; w bieżącym artyzm swój, niewątpliwie jedyny w swoim rodzaju, oczyścili z przykrych domieszek. Szopka zeszlórczna trąciła czemś, czego się formalnie czepiać nie było można, bo satyrze i szopce wszystko wolno, ale co psuło sam śmiech. Wystawianie, szczególne zawzięte, na pośmiewisko filistrów pewnych idei i pewnych ludzi, którym się od ogółu tylko sympatya lub nawet cześć należy, było schlebaniem instynktom podlejszym. Nie należy publiczności naszej zbyt spoufałać z prywatną osobą sztuki i ideowości. Grzeszy ona i tak nadmiarem poufałości i ochotą do grzebania palcem w sercach ludzi wyższych.

Tegoroczna szopka nie miała, zwłaszcza z początku, takiego powodzenia, jak jej poprzedniczka. Dowcip jej ostry, bezwzględny i rzeczywiście satyryczny mniej bawił i rozweselał, a więcej apelował do tężyzny słuchaczy. Oczywiście taka apelacya zawsze zawodzi. Było coś dziwnie przykrego w tem milczeniu sali. Niewiedziało się, czy ona milczy dlatego, że nie rozumie, czy dla tego, że wogóle jest bezwładna. Zapewne i jedno i drugie. Szelmowskie wprost pomysły Boya i Taper, jak n. p. z nogą górala zakopiańskiego falluso-kształtną, jak z babą plotkarką, która w balii szuka potwierdzenia swych domysłów, i wiele innych, padały w próżnię. Drętwo też reagowano na świetne karykatury wyborów zeszlórcznych.

W szopce nie braknie zgrzytów pomograficznych, ale są rzeczywiście świadomemi, umyślnemi zgrzytami. Boy zwłaszcza lubi ostre, gorszące cięcia w cnotliwą twarz. A zawsze są one dowcipne, logicznie wypływają z tematu. Niektóre epizody, jak ów z szopkarzem krakowskim, z Raperswylem, z kokotą z linii A-B, są w swoim rodzaju klejnotami. Jest ich dużo. Nie bez intencji i to głębszej, i godnej ilustratorów paryskich, jest ten szczegół, że kokota jedyna wypowiada jakiś szlachetniejszy sentyment dla Krakowa, jako krajobrazu i nastroju.

Nie ma wątpliwości, że Szopka tworzy szkołę. Jest to produkt Krakowa rdzenny i lekceważyć go nie można. Nie można go też naśladować. Wychodzi ona z rąk kilku ludzi, doskonale zgranych i zespolonych w swem przywiązaniu do miasta. Rodzi się samorodnie, bezimiennie prawie, jakby rzecz zbiorowa. I rodzi się też z wesołości, której tradycyę ona jedna dzisiaj podtrzymuje. Ale właśnie dla tej wesołości byłoby do życzenia, ażeby wróciła ona na rok przyszły do dawniejszej swej siedziby, jamy Michalikowej. Szopce przystoi charakter mniej urzędowy, wtedy może i publiczność nie będzie siedziała jak do fotografii.

Jeszcze jedno. Szopka tegoroczna zbratała wszystkie obozy polityczne. Jest to objaw więcej niż miły, bo wysoce kulturalny. Różnic właściwie politycznych między dziennikami i obozami krakowskimi niema — istnieją tylko różnice drukarskie: czcionek, papieru, układu, pisowni i t. p. Drobne te dywersye, cierpiące zazwyczaj na megalomanię, stopniały zupełnie w ogólnej ciepłej atmosferze życzliwości dla przedniej humorystyki, zrobionej ze znakomitym sensem.

ALASTOR.

SYGNAŁY.

STULECIE NAPOLEONA.

I. MORALNOŚĆ BRYTAŃSKA.

Nie chcemy uprawiać polityki. Skonstatowanie zasadniczych przemian w układzie międzynarodowym nie ma jednak w sobie nic specyficznie politycznego. Podobnie, gdy ludzkość patrzyła przerażonemi oczyma na gruzy i trupy po trzęsieniu ziemi w San Francisco, na Martynice albo przed trzema laty w Messynie — to nie reagowała bynajmniej jak geolog lecz jak człowiek, jako istność, której uwaga musi być przede wszystkim zwrócona na kataklizmy, chłonące współbraci — ludzi. Niemal takimi samymi przesunięciami skorupy ziemskiej, wstrząśnieniami w bycie społeczeństwa a przede wszystkim katastrofami w bycie moralnym, są wypadki, zainscenizowane pośrednio lub bezpośrednio przez Wielką Brytanię w Afryce i Azji i oczywiście poniekąd i w Europie.

Nie zmysł polityczny rażony zostaje tym gromem, lecz zmysł człowieczeństwa, uczucia moralne i wszelkie ostoje szlachetniejsze bytu. Historia cywilizacji i ducha ludzkiego kiedyś krwawemi kartami upamiętni to wielkie odkrycie, tę nową szkołę unicestwiania narodów, która się nazywa „podziałem na sfery wpływów“. W samowiedzu ogółu chwila ta powinna się odbić głębokiem zastanowieniem. Człowiek, biorący udział w kulturze, czy w tworzeniu jej, czy w korzystaniu z jej wyższych wartości, powinien zadrzeć o nią i o siebie.

Wynalazek angielski, polegający na organizowaniu „podziałów na sfery wpływów“, nie jest nowym jako zjawisko walki wszystkich przeciw wszystkim, ale nowym w zestawieniu z tem, co było przed stu laty.

Napoleon rozbijał i zabierał — Anglia, ojczyzna Wellingtona — tylko przekupuje, demoralizuje i znieprawia. Napoleon też walczył wszystkiemi środkami podstępny, ale przytem był wodzem i nieustraszonym człowiekiem, geniuszem i indywidualnością o cudownej władzy uroku i myśli. Napoleon rozpętał w swej burzy wszystkie potęgi ludzkiego bohaterstwa i wszystkie wspaniałości duszy żołnierskiej. Anglia sposobem giełdowo-kupieckim i dla celów kapitalizmu, niszczy państwa, których jedyną zbrodnią jest brak europejskiego upodlenia. Napoleon występował świadomie czy bezwiednie jako odróżl narodu o przepysznym blasku kultury i w tem przekonaniu, że roznosi słońce duszy francuskiej na cały świat. Anglia ostrzy zęby na cywilizację z brudnych wyrachowań politycznych, na trzeźwo, bez ryzyka, bez heroizmu, jak tuczny byk John Bull. Napoleon przy całej przebiegłości swej i podstępnie był w historii romantyzmem wcielonym, który zachował swoją aureolę, pomimo, że podług obliczeń Taine'a, zginęło przez niego 4 miliony ludzi. W jego zbrodniach i czynach tchnął element niespożyty ludzkiej dumy i żądnej promieniowania potęgi jednostki. Przez Anglię zaś działa masa

cywilna mieszczańska, żadna z bogacenia się bez utraty jednego dnia sytości i jednej nocy zadowolonego chrapania. Tak ją pojmował Byron i Shelley, tak ją odczuwał Herbert Spencer, przypominając, jak z pobożnego kazania w kościele idzie ona do kuźni, żeby kuć kajdany dla niezawisłych ludów.

Napoleon szedł jak bóg wojny na narody pyszne i harde i do boju gotowe — Anglia idzie grabić i łupić tam, gdzie w domu jest choroba, gdzie leży matka-ojczyzna chora i rodzi, rodzi może wielkiego potomka — Wolność.

2. ZMIENIONA ORYENTACJA.

Jeśli kiedy to teraz nadeszła właśnie epoka przeciwstawiania się ducha światu.

Jeśli do niedawna jeszcze twórczość ducha i uprawa duszy ludzkiej wydawać się mogły kwiatem, dzisiaj powinny być czczone jak świętość.

W ludzkości utworzyły się dwa bieguny: nie duch i materya, lecz duch i świat. Duch musi się przeciwstawiać światu nie na prawach równości i nie „jak dwa na słońcach swych przeciwne bogi” — lecz jak niebo piekła.

Duch pozostał duchem, tem czem zawsze był i czem wiekuiście będzie, kolebką, dziedziną i metą ideału, świat natomiast zmienił swą fizyognomię i stał się widownią dla żarłoczności, już absolutnie nie maskowanej, nie ukrywanej.

Dał on duchowi jedną małą „łapówkę” — szczerość; zarzucił nawet chęć obłudy i za tę cenę zdobył jakąś niepojętą jeszcze, gdyż zbyt świeżą — odwagę jawnego wypierania się jakiegokolwiek związku z sumieniem.

Przez kilka lat ostatnich historia skacze małpiemi skokami kangura. Przez kilka ostatnich miesięcy przetoczyło się kilka stuleci. Nasz wczorajszy jeszcze pogląd na przyszłość cywilizacji i narodów dzisiaj już wart tyle, co korona perska. Jest to już tylko „perskie oko” dziecinnych złudzeń. Można by nawet powiedzieć „tureckie oko”, „chińskie oko” i to by rzeczy nie zmieniło.

Wiara lub pociecha, do niedawna dość często spotykana, że kędyś w cywilizacji jest jakaś ostoja chrystyanizmu lub chociażby jaki inny autoritet godności, zakazujący upadabniać się zwierzętom (a specjalnie szakalom i hyjenom) musi dzisiaj politykowi np. włoskiemu lub angielskiemu wydawać się komicznym przeżytkiem czasów przedhistorycznych. Te czasy przedhistoryczne były jeszcze 5 lat temu.

W terminach technicznych polityki międzynarodowej nazywa się to: Antagonizm Anglii i Niemiec pociąga za sobą zmianę całego układu Azji. Mniejsza, jak się to nazywa. Dość, że busola tak zwanego świata prowadzi go ściśle futurystycznie, realnie i t. p. do zamienienia wszystkiego, co jest słabszem lub zbłąkanem ku nieszczęsnej drodze odrodzenia — na tak zwaną „polityczną zdobycz”. Biada społeczeństwom, któreby dzisiaj wkroczyć chciały na drogę reformy.

Stało się to tak piorunująco szybko, że i my, ludzie postronni, widzowie i świadkowie, musimy się gwałtownie spieszyć, żeby ogarnąć uwagę kolosalny przełom w stosunkach międzyludzkich. Musimy wytrzeszczać silnie oczy, żeby dopędzić chyży turniej nagłych monsturalnych wypadków. I czem prędzej urobić sobie musimy nową filozofię, nowy światopogląd, z rozu-

mieć nową oryentacyę. Na jeremiady nie ma czasu ani miejsca. Jeremiada dzisiaj się nadaje do pisma humorystycznego. Trzeba się przemódz i zdławić w sobie przesady o nieprawdopodobieństwie czegoś, hipotezy bredzenia i halucynacyi. To nie halucynacye i to zupełna, ścisła prawda. Kto chce żyć, a nie uledez duszą swoją, rozwrażliwioną na szczątkach romantycznej biesiady ludów dziewiętnastego wieku — niechaj nie jęczy i nie załamuje rąk, niech ich nie wznosi do nieba. To na nic.

Trzeba się okopać w szaińcach ducha — oto jedyna droga uratowania równowagi i życia.

Jest-że to nasz wniosek?

Wyciągać wnioski łatwo, ale krotochwilne. Wnioskować z dzisiejszego faktu, którego rozmiary i granice brutalności nie są jeszcze ustalone, można tylko negatywnie i pesymistycznie. Trzebaby rozumować jak Schopenhauer: wobec niemożności przełamania złej woli — stępić jej żądo przez stępienie w sobie samego realnego życia i przez zamianę namiętności na czyste i święte umiłowania i prace. Ale do pesymizmu już nie wrócimy; chorobę tę ludzkość przeszła może bezpowrotnie, zrozumiałwszy, że istnieje wyższy i godniejszy sposób reagowania na tragedję — przez spotęgowanie w sobie duchowej energii.

Siłę świata tylko siłą ducha złamać można, a jeśli nie złamać, to ją w sobie pozbawić jadowitości. Wszystkie zapały i dobre wole, co się rwą heroicznie do zerwania pęt — powściągnąć, ażeby nie zostały zdeptane przez najazd hunnów nowoczesnych, hunnów zachodu! Przeczekać proces wyładowywania się międzynarodowych napięć i za hasło wziąć pytanie, zawarte w tytule słynnej rozprawki Mickiewicza: „Co nam wróżą wypadki na wschodzie“.

Dusza polska powinna się teraz przyznać na swojej strażnicy i patrzeć co będzie, a moc ducha i światła duchowego rozzarzać aż do siły światła w ciemności. Powinna pojąć, że w chwili, gdy *boa constrictor* połyka swoje ofiary, nie łatwo mu przeszkodzić w szlachetnem trawieniu.

Jest to chwila, szczególnie nakazująca męstwo być samotnymi. W miłość dawno przestaliśmy wierzyć, teraz należy wyrzec się wiary w nienawiść. Wczorajsi wrogowie dzisiaj stali się najserdeczniejszymi druhami i współnikami. Wszelki sens straciły dotychczasowe pojęcia „sojuszów historycznych“, „przymierzy naturalnych“, „antagonizmów tradycyjnych“ i t. p. Najczulsze małżeństwa mocarstw mogą się w ciągu dnia jednego rozwieść, a po nich przyjdą mezalianse i konkubiny chociażby ze zwierzętami.

Zanim więc się skończą te układy i transakcye a tryumfy kapitalizmu przestaną być równoznaczne z tryumfami kannibalizmu, my ze strony przyjaciół, opiekunów, orędowników i t. p. możemy oczekiwać tylko — słodkiej prowokacyi.

Na ten czas dusza polska dobrze zrobi, gdy z całą pasją rzuci się na zagadnienia kultury, sztuki, filozofii.

Być może, iż ta dusza ma nawet swoje posłannictwo. „Być może“, gdyż mówić z całą kategorycznością o „posłannictwie“ w epoce, takiej jak nasza, byłoby nieco śmiesznem. Najśmieszniejsze i najgłębiej na pozór tkwiące we krwi i tragedji narodu posłannictwo — kierowany czystą prawicą tego lub innego mocarstwa „los“ mógłby zdmuchnąć jak świeczkę.

Ale jeśli niema posłannictwa, to jest pewien obowiązek względem siebie i obowiązek względem Ducha. Temu Duchowi musimy stawiać większe i piękniejsze świątynie niż kiedykolwiek. Nie koniecznie ołtarze: modlitwy było i jest dość — ale przybytki wiedzy i sztuki, warownie monej kultury.

Dekoratywnie można by to ująć w formułę: Duch wygnany przez świat niechaj ma swoje schronienie w narodach, które przeciw niemu najmniej bluźniły. Ideał poszanowania bóstwa w ludzkości niechaj ma swoją bezpieczną przystań w społeczeństwach, które względem ludzkości nie były wiarołomcami. Tak brzmiałoby to — dekoratywnie.

Biorąc zaś rzeczy realnie i więcej filozoficznie, powiedzieć sobie trzeba: Duch w rzeczy samej jest niezniszczalny, jego najwyższe atrybuty i przejawy: sumienie i gówność dążeń nie mogą zniknąć z powierzchni ziemi. Sumienie ludzkości to w swoim rodzaju morze: gdy u jednego brzegu jest jego odpływ, to u drugiego — przypływ. Odpływu absolutnego nie było nigdy i nigdzie.

Idea może wędrować albo się zaciemniać, ale w jakimś punkcie zbiorowości ludzkiej musi trwać. Bez udziału nawet naszej chęci — przypłynie ona na nasze niebo, rozpali się nad nami gwiazdą. Od lat stu już świeci. Chcemy widzieć tylko jej blask i brać z niego natchnienie światła i mocy. Patrzmy więc w górę, a nie w dół ku błotom. W dół tylko o tyle, o ile nakazuje przezorność, żeby i nas błoto historii bieżącej nie pognębiło.

Powiecie może, że to echa mesyanizmu? Bynajmniej, nie łudźmy się, że mesyaszami będziemy dla świata. To byłaby także tylko zbutwiała dekoracja złudy. Możemy i powinniśmy być przeciwwagą i arką, nie mesyaszami, lecz czcicielami i kapłanami Ducha.

I nie wolno nam dufać zarozumiale, że tylko do naszego brzegu skądinąd odpływający Duch przybija. Jego kształt ludzki — sumienie — tuła się jeszcze i w innych narodach i w pewnych ich odłamach. Z niemi się bratać lub porozumiewać — to jedyny program polityczny, zdolny wznosić okopy, za którymi przetrwać moglibyśmy podbiegunową noc...

JAN ZARYCZ.

ZWIERZENIA O NASZEJ KRYTYCE.

Jeśli już tak koniecznie chcesz, żebym wypowiedział myśli swoje na temat, poruszony przez Ciebie — niech się stanie. Przecież to prywatne zwierzenia moje, a nie żadna gazeciarska krytyka, gdzie autor łaknącą blagi opinię zapewnia o swem „obiektywnym stanowisku“ względem przedmiotu, w kunsztownem zestawieniu frazesów, które w wyższym lub mniejszym stopniu odciąża zręcznie uwagę od faktycznej pustki.

Obiektywnym można być jedynie w sprawach odległych od uczucia naszego. Jeżeli zabierasz głos w sprawie sztuki, która jest wykładnikiem serca — tak jest! — im żywotniejsza tem silniejsza jej tętno — to ona obojętną być Ci nie może. Dramat, obraz, rzeźba czy sonata podnieci Cię przychylnie lub wrogo dla przedmiotu i autora, podczas

gdy wieść o dymisji gabinetu francuskiego przyjmiesz na równi z arcyciekawymi sprawozdaniami matchów footballowych krakowskich, któremi dzienniki częściej niż o sztuce raczą publiczność.

Krytyka nie tylko musi być, ale i jest subiektywną.

Nie z równym zachwytem słuchamy płyty patefonu i koncertu wybitnego wirtuoza. Banalny zachwyty krytyków, jako wyraz ogólnej obiektywnej prawdy, uwielbiający „transcendentalność linii i kolorytu“ Matejki, nie pojmujący, na czym jego wielkość polega, przebrzmiał, gdy do dziś słyszymy potężny głos protestu Witkiewicza. Bo nieodstępną cechą nieśmiertelnej krytyki jest twórczość — przez którą staje się sztuką. Tylko człowiek twórczy może być krytykiem. Bo co nadto to — katalog, reporterstwo — reklama!

Krytyk winien w artystycznej formie przedstawić plon myśli i uczuć, jaki zebrał, idąc łańcem sztuki. Oko jego nie uroniło żadnego źdźbła — po każde się schylił, by nie zmarniało niezauważone. Przy tworzeniu krytyki obok innych czynników trzeba odważyć wobec — samego siebie. Nie śmieć się...

Chętnie rzucamy się na obcych — mniej chętnie na znajomych, a niechętnie na siebie. Krytyk z dziedziny sztuk plastycznych (wszak prawda, że o nich mówimy?) podobny jest wężowi o jadowitych zębach. Musi tak ostrożnie nimi władać (jeśli musi!), aby przypadkowo nie ugryzł siebie samego. Wypowiadając sady, winien odważyć ciężar gatunkowy nie tylko każdego zdania ale i słowa, bo nigdzie nie jest wartość tak ruchoma jak tu, gdzie reguły nie ma, gdzie o odwet najłatwiej. Nie mógłbym zostać zawodowym krytykiem, piszącym sprawozdanie z każdej wystawy, chociaż mam większe prawo, niż ktokolwiek inny, bo jestem... malarzem.

U nas o wartości pomnika Kościuszki rajcowie miejscy decydują; gdzie padł głos protestu przeciw szpeceniu miasta pomnikiem grunwaldzkim? Puzyna nie dał „zszpecić“ wawelskiej katedry witrażami Wyspiańskiego; w komitecie odbudowania Wawelu więcej radców i urzędników niż artystów, — w interesie żywych burzy się zamarte a nieśmiertelne piękno kościołków, — chłopci odziedziczając po szlachcie dwory, cacka architektury, zamieniają je na stajnie, chlewy i spichrze, — u nas, gdzie stuletnie dęby i lipy oglądamy już nie z fotografii lecz z daguerotypu — gdzie malarze potrzebują „Przyjaciół“ (!) aby mogli obrazy wystawiać, — gdzie nie pytają krytyka o cenzus uzdolnienia i wykształcenia, bo mu wystarczy tyle kwalifikacyi, iż nie jest — analfabeta. To wszystko nasze: frazesy gładkie, wodniste jak pierwsze ziemniaki, fejleton tygodniowy o wystawie malarskiej — bezmyślne pochlebstwa dla ozdobionych aureolą, protekcyjne i ordynarne klepanie po ramieniu młodszych, godne dłoni dorobkiewiczów, świecących sadłem i brylantami, lub wreszcie ujadanie i zbycie milczeniem maluczkich dziennych pracowników! Jakie społeczeństwo, takie wykładniki krytyczny!

Tobie to tylko mówię, — gdybyś mię zdradził przed ogółem, oświadczam, iż wyślę oficjalne zaprzeczenie. Widzisz, ja jestem typowym rewolucjonistą krakowskim, co w pokoju obala i podźwiga trony... Żeby móż mówić o obrazach, nie wystarczy jedyna kwalifikacya: oczy i język. Trzeba urodzić się twórczym, zaznajomić się z historią sztuki nie na jednym naszym uniwersytecie, nie z samych podręczników, z reprodukcji, czy może nawet z widokówek, zaznajomić się nie tylko z dziełem lecz i z ojczyzną jego, mieć

wycucie dla wdzięku każdej epoki, słowem, przyjmować eucharystę z rąk Sztuki pod każdą postacią Piękną.

Odpowiesz mi: „Ależ takich krytyków na palcach w Europie policzysz; dobrze, że mamy choć takich, jacy są. Pomyśl, jakiby powstał brak orientacji, chaos pojęć, wobec nieustannych ewolucyj w sztuce. Czyż nie przypominasz sobie tych głosów litujących się nad impresjonizmem, pointyлизmem, plamą, a teraz znów nad neoimpresjonizmem i kubizmem? Dopiero krytycy — mniejsza o to, jaki mają talent — wybierają materiał, gatunkują, nalepiają etykiety i wkładają w odpowiednie szufladki mózgowicy publicznej“.

Otóż właśnie to nieszczęsne pośrednictwo subiektów! Ekonomiści twierdzą, że drożyzna powstaje wskutek pośrednictwa produkcji. Społeczeństwo nasze jest jeszcze w stadium wiary w słowo drukowane: „Napisane, więc prawda“. Tu tkwi całe nieszczęście złej i nieudolnej krytyki. Czy myślisz, że poziom tej kategorii ludzi zmienił się na korzyść od 60 lat, to jest gdyśmy sztuki nie mieli?

Bądź łaskaw wydobyć z półki tę książkę w błękitnej oprawie. „Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego“. Przeczytam Ci ustęp, pisany w r. 1856 dnia 13 marca, zatytułowany: „Sławne nieuctwo moje w znawstwie sztuk pięknych“:

„Jak w każdej innej gałęzi nauk tak i w sztukach pięknych ignorancja przylepiła się do mojej figury. Są tak szczęśliwi, co w naukowości mnie równi, a przecież udaje im się uchodzić za sawantów, za znawców, bo w sztukach pięknych umieją oni dawać sąd o rzeczy, o malarstwie, o rzeźbie i t. p., chwają, ganiają, radzą poprawy tego i owego; a ja nic z tego wszystkiego nie umiem i stoję, słucham z rozwartą gębą i podziwiam ich naukę... Chcąc i ja też podnieść się w znaczeniu, zajaśnieć na horyzoncie uczoności, tem bardziej, że jestem członkiem dyrekcyi Towarzystwa Sztuk Pięknych krakowskiego i zasiadam na sesjach razem z książętami, hrabiami oraz znawcami sztuk pięknych, idąc za przykładem innych, umyśliłem przyswoić sobie szereg jakich frazesów, wyrazów technicznych, któremi przy sądzie o utworach sztuki mógłbym dowolnie szermować, batożyć ni w pięć ni w dziewięć, jak to czynią inni, i w tym celu następny przysposobiłem sobie słownik, lecz mimo tego niewielką robi mi on przygłogę, bo istotnie nie wiem, gdzie i jakiego wypadu użyć frazesu, i mam stąd prawdziwe *ambarras de richesse*. Oto jest ten nowy podręczny dykcyonarzyk: „Kompozycya szeroka — koloryt ciepły — pomysł śmiały — rysunek skończony — bogactwo utworu — z tego obrazu wieje jakieś zimno — głębokie studyum — światłości — pełność ruchu — cienie zlewają się — kształty zaokrąglone — wymanierowane — wylizane — wymuskane — konwencyjonalne — siła życia — postawy naturalne — postacie niewymuszone — poczucie wierne — układ mistrzowski — wykonanie klasyczne — pendzel wyborny — styl wytworny — praca artystyczna — nacechowane siłą — ogrom uczucia — wdzięk form — ugrupowanie szczęśliwe — konsekwentność w działaniu i układzie — ton ciepły w kolorycie — szerokość konturów — poprawność rysunku — śmiało i szeroko narysowane“....

Takimi i podobnemi frazesami potrzeba uposażyć swoją pamięć, ale to gorsza, aby wiedzieć kiedy i jakiego użyć: *hic Rhodus, hic salta*. A że mi przymioty takie nie przysługują (wyras nowomodny) przeto na sesjach cicho siedzę i głosu nie zabieram, ani zdania udzielam i z tego to względu na ostatniem posiedzeniu podałem się do dymisji, prosząc o uwolnienie mię z urzędu, bo poczuwam się, że na niem tylko niemą jestem figurą, podczas kiedy inni gwarzą ni to, ni owo“.

O kwiecie zasuszony i zakonserwowany lat tyle, nie straciłeś wdzięku, dziś mimo zblaknięcia bijesz „niezapominajkową“ farbą świeżości swej, iż nie wiem już, czyliś wypadła z tego pamiętnika czy z jakiego fejletonu sobotniego. Pozwól, że i ja powiększę tę wiązanę nowemi gałązkami: Nastroj — dekoracyjne — plamą operujący w plenerze — prerafaelici — pointylistycznie — manowce sztuki — z młodszych a wiele obiecujący — finezya paryzanina, wytworność monachijczyka — bardzo znaczne pogłębienie w kierunku technicznym i poważnym sposobie traktowania podejmowanych tematów — intensywne motywa, pełne prawdy — na drodze eksperymentowania wszelkiego zbliża się do skryzalizowania swego indywidualizmu — hołdujący źle zastosowanej szkole impresjonistów francuskich — talent, w którym silny indywidualizm bierze górę nad refleksją malarską — wielce zaawansowany w walorach — zdrowy powiew sztuki zagranicznej, przetrawionej w duchu swojskim...

Powiesz, że się czepiam słów, że wyjęte z całości są jak młode kocięta, wyjęte z pod matki, pełzające niezgrabnie, nieumiejące użyć swoich nóg, gdy te same zebrane u piersi przedstawiają piękny obraz. Mam szukać idei, sensu? To jakbyś mi kazał z trocin upiec chleb. Schemat, zapatrzenie się — kopiowanie — pozorowanie — własna rzepka, oto kościec, na który narzuca się treść — mięso. Niezadowolnienie z urządzenia wystawy, usuwanie niedogodności lokalu, pobłażliwość jury, brak smaku w rozmieszczeniu, — jałowość tematów, brak wielkich motorów uczuć i myśli — hej, te niepowrotne czasy Angeliców, Botticellich, Rembrandtów, Velasquezów, choćby naszych Matejków, Grottgerów, Stanisławskich i Wyspiańskich! Hej, nocy listopadowa, coś zaciężyła melancholią nad miastem trumien! Plamo, która wyrugowałaś rysunek ze szkoły Stanisławskiego! Pogrobowcy wielkiego pejzażysty, czemu nie trzymaliście się haseł zdrowych, przekazanych testamentem, — doprowadziliście sztukę do zwyrodnienia i absurdu! Gdzież jest, uczciwości patrzenia na naturę, uczciwości rysunku, malarska prawdo, odwago bezpośredniego patrzenia na świat?

Dyscypliny, więcej dyscypliny!

Hej! tragiczne ujawnienie bezwzględnej rzeczywistości, druzgocącej przemocy życia!

Hej! królowno z bajki, o której wszyscy marzą!

Przez stugłowe strazydło strzeżona,
Daremnie ku nam wyciągasz ramiona!
Lecz rychły świt!...
Cyt—cyt—cyt!
Perseusz-Wid.

Być sędzią ludzi, którzy życie całe spędzają w serdecznym stosunku z przyrodą i sztuką, starających się poznać najsubtelniejsze ich drgania — jest to wielką odpowiedzialność brać na swoją obserwację, krytycyzm i wyrok. Graniczy tu bowiem bardzo blisko z sobą: snobizm, zła wola, reklama i... twórczość.

Ale dosyć tych wyznań, chodźmy do katedry wawelskiej, teraz nie będzie tam nikogo. Sztuka i przeszłość będą mówiły do nas Ciszą, stokrąg wymowniejszą niż najkunsztowniejsze recenzje.

MARCIN SAMLIICKI.

MIZERYA TEATRALNA.

Nad teatrami polskimi zaciężyła groźba katastrof. Najważniejsza ze scen, krakowska, ta, co się szczycić może zdobyciem dla teatru arcydzieł poezji, uważanych za „dramata książkowe“ jest w przededniu gromadnego wychodźstwa lepszych swych sił. Warszawa, skrępowana w swoim rozwoju umysłowym, jedynie w kierunku teatralnym kwitnąć może i oczekuje narodzin kilku poważniejszych scen. Przybędą one wkrótce a wtedy przed „Teatrem imienia Słowackiego“ stanie widmo przymusowej nieczynności. I wiele innych bied nad nim zawisło.

Jest to sprawa wielkiej wagi dla całego życia artystycznego i kulturalnego Krakowa, a z wielu względów i dla całego ogółu polskiego. Niepodobna nawet doraźnie oznaczyć tej doniosłości. I nie myślimy zadowolić się jednym pustym okrzykiem przestrogi. Wrócimy i wracać będziemy do tej mizeryi teatralnej; pobudzać będziemy inne pisma i opinię inteligencji wszelkimi sposobami, ażeby uświadomiły sobie ogrom grożącej klęski i pomyślały, jak jej zapobiedz.

Tymczasem zaś rzucamy tylko hasło, i zwracamy uwagę na inną katastrofę, już będącą faktem.

Idzie o losy teatru poznańskiego. Ogół polski nie wie, co się w Poznaniu dzieje; nie ma pojęcia o wielkich cnotach obywatelskich tak zwanej inteligencji wielkopolskiej i o większych jeszcze grzechach w jej gospodarce i stosunku do sztuki i literatury. Wartoby od czasu do czasu tej tak nam blizkiej a tak dalekiej dzielnicy pokazać, że ją rozumiemy i — nie pobleżamy niedorzecznościom.

Niedorzecznością bowiem, opłacaną przytem mnóstwem pieniężnych ofiar, była zamiana teatru w Poznaniu na operetkę i — *risum teneatis a mici* — opera w tych warunkach może być tylko swoją własną parodią, gorzej nawet. Również operetka; ta w dzisiejszych czasach wymaga niemniejszych nakładów i dekoratywności. Prawdopodobnie świat dowiedziałby się wprost humorystycznych rzeczy o tych przedstawieniach, gdyby dzienniki miejscowe nie łagodziły jaskrawości obrazu, czując, że mizerya jest zbyt wielka i bolesna, ażeby wolno było jej urągać. Koronuje bowiem klęskę ta jeszcze okoliczność, że do swego błędu i wstydu komisya teatralna musi jeszcze dopłacać kilkadziesiąt tysięcy marek rocznie dla krycia niedoborów. Nie tylko więc, że teatr nie daje odsetek, ustano-

wionych na cele dobroczynne, ale zjada krwawo zapracowany grosz poznańczyków.

Obliczono, że za pieniądze, które rada nadzorcza straciła na podtrzymanie teatru z wodą w głowie, można było wybudować nowy gmach. Dzisiejszy bowiem jest załośnię mały i absolutnie nie sprzyja jakiej takiej perspektywie i iluzji.

Lecz straty materialne, poniesione przez Poznań dla teatru, nie są niczem w porównaniu ze szkodą moralną, wyrządzoną przez operetkę.

Publiczność poznańską, której górne warstwy, to znaczy siedzące na wyższych miejscach, zawsze jeszcze mają zwyczaj wybuchania śmiechem w najtragiczniejszych miejscach, z trudnością udało się przyzwyczaić do słuchania sztuk poważniejszych. Dzieła tego dokazał poprzedni, z przed lat trzech, dyrektor p. Rygier. Człowiek ten, żelazną ręką prowadzący teatr, zrobił z niego instytucję poważną. Nie cofał się przed najtrudniejszymi sztukami i powołał cały nowoczesny repertuar wprowadził na scenę: Ibsen, Hauptman, Bernard Shaw, Tołstoj, nie mówiąc już oczywiście o autorach swoich. P. Rygier szedł ściśle *pari passu* z teatrem krakowskim i warszawskim. Grano u niego dobrze i chętnie. Publiczność stale dopisywała. Rezultatem tego było, że kasa najpoprawniej w świecie wypłacała dobroczynne odsetki. O długach i zebraniu nie mogło być mowy. Przytem pamiętać się godzi, że z trupy Rygiera zawsze wychodziło w świat sporo wybitnych i nawet pierwszorzędných talentów.

Niektórym jednak ludziom, nietyłe złym ile małym, praca p. Rygiera nie podobała się. Nie patrzyli oni dalej, tylko na odległość własnego nosa; a że coś ich w dyrektorze raziło, jak zresztą w każdym kierowniku energicznym bywa coś nie dla wszystkich miłego, przeto rozpoczęli kampanię „wygryzającą”. Skończyła się ona rezygnacją p. Rygiera i zupełnem zwycięstwem przeciwników: zapanowaniem w teatrze — idyotyzmu.

Dzisiaj publiczność poznańska tak zasmakowała w nieodstępnym tańcu państwa Faliszewskich i innych błazeństwach, ani smacznych, ani zabawnych, ani dowcipnych, że skierować ją ponownie na drogę komedii i dramatu — to taka sama mniej więcej praca, jak zamienić stajnię Augiasza na ogród Hesperyd.

Ale rada nadzorcza, jak słyszymy, nie wyniosła żadnej nauki z tych doświadczeń. Podobno odrzuca propozycje wytrawnych artystów, pragnących objąć ster teatru, wstydzi się nanowo zaprosić p. Rygiera, który jedyny mógłby jako tako naprawić stosunki, i puszcza się nanowo na drogę eksperymentów.

Zdaje mi się, że w tym wypadku absolutnego braku opinii i zupełnego bezhołowania, wobec marnowania publicznej ofiarności i zaśmiecania publicznej duszy, poważniejsze dzienniki poznańskie powinny z całą bezwzględnością wziąć się do ukroczenia szkodliwych jednostek i szkodliwych pomysłów.

ALASTOR.

„ZŁOTY RÓG“.

Taki był pierwotny i zapowiedziany tytuł naszego pisma, użyty już jako drugi tytuł wznowionego w Dreźnie „Ateneum“ i mającej przy niem wychodzić biblioteki. Tymczasem nie wiadomo dlaczego nazwano „Złotym Rogiem“ „najpopularniejszy“ tygodnik ilustrowany, który z końcem grudnia ukazał się w Warszawie. Dziwny „zbieg okoliczności“! Trzeba było wyrzec się pięknego, symbolicznego tytułu. Znalazł się lepszy, a „lepsze jest wrogiem dobrego“. I nie wartoby wspominać o tem, gdyby nie nasuwające się myśli o szerzącej się u nas coraz więcej manii dekoracyjnej, która z filistra czyni snoba, a spekulantowi każe być „pięknoduchem“. Nie dość, że setki grafomanów drukują liche wierszydła na pięknym papierze, ozdabiają winietaami i okropnie „modernistycznymi“ okładkami: lada szyba chwali się „secesją“, lada szynk „sztuką skogutkowaną“, a stylizowane osty i kosańce widnieją na torebkach z proszkiem owadogubnym i na pudełkach z czernidłem. Nie dość, że odczyty i przemówienia, rozmowy kawiarniane i salonowe, są „jako cymbał brzącający i jako miedź brzęcząca“: nadużycie słowa w reklamie jest dziś tak powszechne, jak nadużycie zaufania w interesach. Mamy już likier „Manru“ i „kordyał grunwaldzki“, niedługo pewnie pojawia się „pastylki Napoleońskie“ na kaszel i środek podniecający „Heliogobal“.

Jest w Zakopanem willa „Nietota“ — pretensjonalność śmieszna, lecz nieszkodliwa. Ale gdyby jakiś klub sportowy nazwał swoje boisko „Okopami św. Trójcy“, co wobec powszechnego zwyrodnienia smaku jest całkiem możliwe — byłby to wybryk zbyt przykry i karygodny. Nadużycie słowa w tytułach i niestosowne stosowanie sztuki stosowanej obniża powagę sztuki. Ideę łączenia piękna z użytecznością wypaczono — i dziś piękne staje się odrazu banalnem.

Ma to swoją dobrą stronę. Ogół może sobie wreszcie zbrzydzić tandetę estetyczną, a wtędy zrozumie, że sztuka nie polega na winietałkach i pocztówkach, a poezya na szumnych, efektownych wyrazach. Tymczasem powinno się jak najgoręcej protestować przeciwko używaniu sztuki jako reklamy, wszystko jedno czy handlowej czy literackiej.

W jednym z dramatów indyjskich jest przepyszna scena, w której złodziej zastanawia się, czy ma wybić w murze dziurę w kształcie serca, czy w kształcie kwiatu lotosu i t. p. Złodziej ów czyni to jednak z szczerego i bezinteresownego poczucia piękna, dlatego wydaje się sympatycznym w porównaniu z estetyzującą rzeszą naszych spekulantów i snobów. Do nich stosowałby się doskonale nieboszczyka Bierbauma „Schmulius Caesar“, którego polecamy do tłumaczenia naszym grafomanom. („Schmulius Caesar oder die marzauner Kunst epoche“).

ZDEMASKOWANIE MICKIEWICZA.

Paryż, w lutym 1912.

Jeden z francuskich naszych przyjaciół zwrócił się do mnie z następującą kwestyą:
W chwili, gdy Paryżanie uchwalili wystawić pomnik Adamowi Mickiewiczowi, rozlegają się głosy wśród samych-że Polaków, zdzierające zeń

wszelki nimb. Szkic Bourdella jest już gotowy, ale francuzi zaczynają poważnie się namyślać, czy nie są czasem plus polonais, niż sami Polacy.

Na wielkie moje zdziwienie i większe jeszcze ze zdziwienia oczy, powołał się na pisma lwowskie:

Cóż się okazało? Pan Jan Gwalbert Pawlikowski, chluba Lwowa i prezes Narodowej Demokracji, autor dzieła o mitycyce Słowackiego, zdemaskował Mickiewicza i dowiódł, że to zwyczajny grafoman-doktryner, bawiący się w politykę. Od niego to zaczęła się głupia mania zajmowania się idea narodową i krytyką państw rozbiorowych, Dodał nawet Francuz, że ton słów p. Jana Gwalberta, prawie nienawistny i wzgardliwy, budzi obawę, czy nie zachodzi co do Mickiewicza straszne nieporozumienie: czy jest on największą Polski chwałą, czy największą jej zakałą, czy największy Polski wieszcz, czy szkodliwy kleszcz, czy jego miejsce w panteonie, czy w ma-
ołków pawilonie?

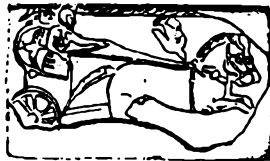
Otrząsnąwszy się ze zdumienia, przypomniałem sobie, że p. Jan Gwalbert, chluba Lwowa, prezes i t. d. autor i t. d. nie poraz pierwszy zdejmuje narodowi bielmo z oczów. Przecie przed dwoma laty za projekt przeniesienia prochów Słowackiego w Tatry, radził wyliczyć 61 autorom projektu 25 kijów w Barbakanie. (vide *Lam us* Nr. 5).

Odpowiedziałem więc mojemu Francuzowi, że p. J. Gw. Pawlikowski jest humorystą-mistyfikatorem, w gruncie duszy bardzo skromnym, tak skromnym, że nie ma się nawet za większego od Mickiewicza, co najwyżej za mędrszego. A Słowackiego tak czci, że swoją, zresztą bardzo porządną historię filozofii mistycznej zadedykował Słowackiemu i nawet go — pomysł to filuterny — w tytule umieścił.

Więc i co do Mickiewicza, nie trzeba brać p. Jana Gwalberta na seryo. Pocię bowiem nie grożą we Lwowie nie tylko pręgiem, ale nawet 25 kijami.

Wszakże miałem słusność, nieprawdaż?

RYSZARD BAHENICZ.



ADMINISTRACJA, EKSPEDYCJA I PRZYJMOWANIE
OGŁOSZEŃ W KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO
W KRAKOWIE, RYNEK GŁÓWNY LINIA A-B. TAM TEŻ
ADRESOWAĆ NALEŻY LISTY I PRZESYŁKI DO REDA-
KCJI. PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ NADTO WSZYSTKIE
WIĘKSZE KSIĘGARNIE POLSKIE.

RYDWAŃ UKAZYWAĆ SIĘ BĘDZIE CO 15. KAŻDEGO
MIESIĄCA W OBJĘTOŚCI NINIEJSZEGO ZESZYTU.

PRENUMERATA WYNOŚI:

ROCZNIE K. 12.—, PÓŁROCZ. K. 6.—, KWARTALNIE K. 3.—
W W. KSIĘSTWIE POZNAŃSKIM:
ROCZNIE MK. 10·50, PÓŁROCZ. MK. 5·50, KWART. MK. 2·75
W KRÓLESTWIE POLSKIM:
ROCZNIE RB. 5.—, PÓŁROCZ. RB. 2·75, KWART. RB. 1·50

ZESZYT ODDZIELNY K. 1·20.

OGŁOSZENIA: ZA CAŁĄ STRONĘ JEDNORAZOWO 50 K., ZA PÓŁ STRONY
K. 30, ZA CWiĘRC STRONY K. 15. ROCZNIE 25%, PÓŁROCZNIE 15% ZNIŻKI.

REDAKTOR I WYDAWCA:
CEZARY JELLENTA (CEZARY HIRSZBAND).

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: DR. KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KS

J. WŁ. DAWID: *INTELLIGENCYA, WOLA
I ZDOLNOŚĆ DO PRACY*. Z RYSUNKAMI.
1911, STR. XVI + 691. CENA K. 9 (RB. 3·50).
TENŻE: *O INTUICYI W FILOZOFII BERG-
SONA*. ODBITKA Z „KRYTYKI”. 1912.
CENA HAL. 60 (KOP. 30).

JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI:
I NIE WWÓDŹ NAS W POKUSZENIE (SZKI-
COWANE WIZERUNKI DUSZ WSPÓŁCZE-
ŚNIE WYBITNYCH NA TLE MYŚLI DZIE-
JOWEJ). KRAKÓW 1911. CENA KOR. 3.
GŁOS BÓLU (SPRAWA ODRODZENIA NARO-
DOWEGO LITWY W ZWIĄZKU ZE SPRAWĄ
WYZWOLENIA NARODOWEGO POLSKI).
KRAKÓW 1912. CENA KOR. 3.

KAZIMIERZ BEREŻYŃSKI: *FILOZOFIA
CYPRYANA NORWIDA*. (ODBITKA ZE
„SFINKSA”). WARSZAWA 1911.

WYSZŁY Z DRUKU KSIĄŻKI CEZAREGO JELLENTY:

DRUID JULIUSZ SŁOWACKI. NAKŁADEM FELIKSA
WESTA. BRODY-LWÓW. 1911. STR. 225. CENA K. 3·50.

GRAJĄCY SZCZYT. STUDYA SYNTETYCZNO-KRYTYCZNE.
(„NIE PIEŚŃ SEN, LECZ PIEŚŃ MOCARZA”. KONCEPCYE
POLSKI. PROROCTWO MICKIEWICZA. DZWONY CHO-
PINA. DONATELLO SZTUKI POLSKIEJ. RZEŻBY DUNI-
KOWSKIEGO. JACEK MAŁCZEWSKI. BYZANTYNIZM
A KRYTYKA. MODERNIZM. MIŁOŚĆ A GINĄCY ŚWIAT.
DWIE HISTORYE KUPIECKIE. GRAJĄCY SZCZYT).
NAKŁADEM S. A. KRZYŻANOWSKIEGO. KRAKÓW
1912. STR. 230. KOR. 4·50.